

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**PROSPER MÉRIMÉE**

# **Podwójna omyłka**

**Tłumaczył Tadeusz Żeleński – Boy**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

*Zagala mas que las fiores  
Blanca, rubia y ojos verdes,  
Si piensas seguir amores  
Pierdete bien, pues te pierdes...*

## I

Julia de Chaverny była zameżna mniej więcej od sześciu lat, blisko zaś od półszósta roku ogarnęła nie tylko niemożliwość kochania swego męża, ale i trudność zachowania dlań jakiegokolwiek szacunku.

Ten mąż to nie był lichy człowiek; nie był też ani dureń, ani głupiec. Może jednak było w nim coś z tego wszystkiego. Sięgając do swoich wspomnień, mogłaby sobie przypomnieć, że niegdyś zdawał się jej miły; ale obecnie nudził ją. Wszystko było w nim dla niej odpychające. Jego sposób jedzenia, picia kawy, mówienia przyprawiał ją o nerwowy skurcz. Widywali się i rozmawiali jedynie przy stole; że jednak jadali z sobą kilka razy na tydzień, to wystarczało, aby podtrzymać wstręt Julii.

Co do Chaverny'ego był to dość przystojny mężczyzna, nieco zbyt zażywny jak na swój wiek, rumiany, krwisty. Charakter jego nie był skłonny do owych nieokreślonych niepokojów, które nieraz dręczą ludzi z wyobraźnią. Wierzył święcie, że żona żywi dlań spokojną przyjaźń (był nadto filozofem., aby sądzić, że go kocha tak jak pierwszego dnia po ślubie), i to przeświadczenie nie sprawiało mu ani przyjemności, ani przykrości; tak samo pogodziłby się z przeciwną myślą. Służył kilka lat w kawalerii, ale odziedziczywszy znaczny majątek zbrzydził sobie życie garnizonowe, wziął dymisję i ożenił się. Objasnić małżeństwo dwojga osób, które nie mają ani jednej wspólnej myśli, może się wydać rzeczą dość trudną. Z jednej strony krewni oraz ci usłużni ludzie, którzy jak Molierowska Frozyna ożeniliby rzeczpospolitą wenecką z sułtanem tureckim, zadali sobie wiele trudu, aby ułożyć sprawy finansowe. Z drugiej strony, Chaverny należał do dobrej rodziny; nie był wówczas zbyt otyły; miał humor, był w każdym znaczeniu tego słowa tym, co się nazywa dobrym chłopcem. Julia widywała go z przyjemnością w domu matki, ponieważ rozśmieszał ją anegdotkami, których dowcip zresztą nie był w dobrym smaku. Lubiła go, bo tańczył z nią na wszystkich balach, bo nigdy nie zbywało mu na argumentach, aby zatrzymać jej matkę do późna, namówić ją na teatr lub przejażdżkę do lasku. Wreszcie Julia uważała go za bohatera, bo miał parę pojedynków, w których znalazł się dzielnie. Ale co rozstrzygnęło o zwycięstwie Chaverny'ego, to opis koczka, który miał kazać wykonać wedle własnego planu i którym sam miał wozić Julię, gdyby mu się zgodziła oddać rękę.

Po kilku miesiącach małżeństwa wszystkie zalety Chaverny'ego wiele straciły ze swej wartości. Nie tańczył już z żoną, to się rozumie samo przez się. Anegdotki opowiedział już po kilka razy. Obecnie uważał, że bale przeciągają się zbyt długo. Ziewał w teatrze, a obyczaj przebierania się wieczorem zdawał mu się nieznośny. Główną jego wadą było lenistwo; gdyby się starał być miły, może by mu się to udało; ale przymus wydawał mu się męczarnią: miał tę wspólność prawie ze wszystkimi otyłymi ludźmi. „Świat” nudził go, ponieważ jest się tam dobrze przyjętym jedynie w stosunku do starań, jakich się dokłada, aby być miłym. Pospolite uciechy wydawały mu się o wiele ponętniejsze od wszelkiej delikatnej zabawy; aby się wyróżnić w towarzystwie, które mu odpowiadało, potrzebował jedynie krzyknąć głośniej od innych, co mu nie było trudno przy tak silnych płucach. Poza tym miał tę ambicję, że potrafił wypić więcej szampańskiego wina niż przeciętny, człowiek, oraz brał z łatwością na koniu przeszkody na cztery stopy wysokie. Dzięki temu wszystkiemu zażywał sprawiedliwie nabytego szacunku wśród owych trudnych do określenia istot, które nazywają się „złotą młodzieżą”, a od których bulwary nasze roją się około piątej po południu. Polowania, majówki, wyścigi, kawalerskie obiady, kolacyjki oto były jego ulubione rozrywki. Dwadzieścia razy dziennie powiadał, że jest najszczęśliwszy z ludzi; za każdym zaś razem, kiedy Julia to słyszała, wznosiła oczy do nieba, a usteczka jej przybierały wyraz nieopisanej wzgardy.

Można pojąć, że osoba młoda, ładna i nie kochająca męża musiała być otoczona bardzo interesownymi hołdami. Ale poza opieką matki, osoby wielce roztropnej, duma Julii – to była

jej wada – broniła ją dotąd od pokus świata. Zresztą rozczarowanie małżeńskie, stało się doświadczeniem niezbyt nastrojającym do nowych zapałów. Była dumna z tego, że jest przedmiotem współczucia i że ją wskazują jako wzór rezygnacji. Razem wzięwszy czuła się niemal szczęśliwa, nie kochała nikogo, a mąż zostawiał jej zupełną swobodę. Zalotność jej (a trzeba przyznać lubiła po trosze dowodzić, że mąż jej nie zna skarbu, który posiada), zalotność jej, instynktowna jak u dziecka, łączyła się doskonale z pewnym wzdorliwym chłodem, który jednak nie był pruderią. Wreszcie umiała być miłą dla wszystkich, ale dla wszystkich jednak. Obmowa nie mogła znaleźć na niej najmniejszej plamki.

## II

Oboje małżonkowie byli na obiedzie u pani de Lussan, matki Julii, która wyjeżdżała do Nicei. Chaverny, który nudził się śmiertelnie u teściowej, zmuszony był spędzić tam wieczór mimo całej ochoty pospieszenia do kompanów na Bulwary. Po obiedzie usadowił się na wygodnej kanapie i spędził dwie godziny nie mówiąc słowa. Przyczyna była prosta: spał, przyzwyczajony zresztą, siedząc z głową pochyloną na bok i jak gdyby słuchając z zajęciem rozmowy; budził się nawet od czasu do czasu i wtrącał jakieś słówko.

Wreszcie trzeba było zasiać do wista, gry, której nienawidził, ponieważ wymagała pewnego natężenia uwagi. Wszystko to przeciągało się do późna: właśnie wybiło wpół do dwunastej. Chaverny nie umówił się nigdzie na wieczór; nie miał pojęcia, co począć z sobą. Trwał w tej wątpliwości, kiedy oznajmiono jego powóz. Gdyby wracał do domu, musiałby odwiedzić żonę. Perspektywa dwudziestominutowego sam na sam mogła go przerazić; ale nie miał przy sobie cygar; umierał zaś z ochoty napoczęcia skrzynki, którą otrzymał z Hawru właśnie w chwili, gdy wychodził na obiad. Poddał się losowi.

Podczas gdy otulał żonę w szal, nie mógł się wstrzymać od uśmiechu widząc się w lustrze w tych funkcjach świeżo upieczonego męża. Zarazem przyjrzał się żonie, na którą wprzód ledwie popatrzył. Tego wieczora wydała mu się ładniejsza niż zwykle; toteż otulanie w szal trwało czas jakiś. Julia była równie nierada jak on z zapowiadającego się małżeńskiego sam na sam. Usta jej układały się w nadąsaną minę, a sklezione brwi ściągnęły się niechęć. Wszystko to dawało jej fizjonomii wyraz tak przyjemny, że nawet mąż nie mógł pozostać nieczuły. Oczy ich spotkały się w lustrze. Oboje uczyli się zakłopotani. Ratując sytuację Chaverny ucałował z uśmiechem rękę żony, którą podniosła, aby poprawić szal.

– Jak oni się kochają! – szepnęła pani de Lussan, która nie zauważyła ani zimnej wzgardy żony, ani obojętnej miny męża.

Znalazszy się oboje w karecie, niemal ramię o ramię, jakiś czas nie mówili nic. Chaverny czuł, że wypada coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Ze swojej strony Julia zachowywała rozpaczliwe milczenie. On ziewnął kilka razy, tak że aż sam się zawstydził i za ostatnim razem czuł się w obowiązku przeprosić żonę.

– Wieczór był długi – dodał w formie usprawiedliwienia.

W zdaniu tym Julia ujrzała jedynie chęć przyganienia wieczorom matki i powiedzenia jej czegoś niemiłego. Od dawna miała zwyczaj unikania z mężem wszelkich wyjaśnień: milczała tedy dalej.

Chaverny, który tego wieczora czuł się w rozmownym usposobieniu, podjął po upływie dwóch minut:

– Obiadek był doskonały, ale muszę ci powiedzieć, że szampan, który podaje twoja matka, jest za słodki.

– Co takiego? – spytała Julia zwracając niedbale głowę i udając, że nie słyszała.

– Powiadam, że szampan, który dają u matki, jest za słodki. Zapomniałem jej powiedzieć. Zdziwiająca rzecz, ludzie wyobrażają sobie, że to łatwo jest wybierać szampana. Dzieciństwo! Nie ma nic trudniejszego. Jest dwadzieścia gatunków szampana złych, ale tylko jeden dobry.

– Tak!... – I Julia dopełniwszy tą monosylabą aktu grzeczności odwróciła głowę wyglądając oknem. Chaverny przechylił się w tył i oparł nogi na poduszce na przedzie karety, nieco dotknięty, że żona okazała się tak nieczułą na wysiłki, jakie sobie zadał, aby nawiązać rozmowę.

Mimo to, ziewnąwszy jeszcze parę razy, ciągnął zbliżając się do Julii:

– Bardzo ci do twarzy w tej sukni, Julciu. Kto ją robił?

– Chce pewnie kupić taką samą swojej kochance – pomyślała Julia.

– Burty – odparła uśmiechając się lekko.

– Czemu się śmiejesz? – spytał Chaverny zdejmując nogi z poduszki i przybliżając się nieco. Równocześnie ujął rękaw sukni i zaczął go obmacywać nieco na sposób Tartuffe’a.

– Śmieję się – rzekła Julia – że zwróciłeś uwagę na moją toaletę. Uważaj, gnieciesz mi rękaw. – I odsunęła się.

– Upewniam cię, że bardzo zwracam uwagę na twoją toaletę i że osobliwie podziwiam twój smak. Słowo honoru, niegdyś mówiłem o tym... kobiecie, która ubiera się zawsze źle... mimo że wydaje strasznie dużo na toalety... Byłaby zdolna zrujnować... Mówiłem jej... Przytaczałem cię...

Julia bawiła się jego zakłopotaniem i nie starała się go wydobyć z kłopotu.

– Twoje konie są do niczego. Wloką się jak żółwie! Muszę ci je zmienić – rzekł Chaverny zupełnie zbity z tropu.

Przez resztę drogi rozmowa nie ożywiła się; żadna ze stron nie wyszła poza monosylaby.

Małżonkowie przybyli wreszcie na miejsce i rozstali się życząc sobie dobrej nocy.

Julia zaczynała się rozbierać; pokojówka wyszła właśnie, nie wiem po co, kiedy drzwi sypialni otworzyły się dość gwałtownie i wszedł Chaverny. Julia nakryła śpiesznie ramiona.

– Przepraszam – rzekł – chciałbym do poduszki ostatni tom Scotta... Czy to nie *Kwentyn Durward*?

– Musi być u ciebie – odparła Julia – tu nie ma książek.

Chaverny przyglądał się żonie w tym neglizżu tak korzystnym dla piękności. Wydała mu się a p e t y c z n a, aby się posłużyć jednym z owych wyrażeń, których nie cierpię. „To do prawdy bardzo ładna kobieta” – pomyślał. I stał tak przed nią bez ruchu, ze świecą w ręce, nie mówiąc słowa. Julia, również stojąc na wprost niego, miała w ręku czepeczek czekając niecierpliwie, aby ją zostawił samą.

– Uroczą jesteś dziś wieczór, niech mnie czarci porwą! – wykrzyknął wreszcie Chaverny podchodząc do niej i stawiając świecę. – Pasjami lubię kobiety z rozpuszczonymi włosami. – Tak mówiąc ujął długie pasma włosów pokrywające ramiona Julii i niemal czule okolił jej kibić ramieniem.

– Och! Boże! Jak ciebie czuć straszliwie cygarem! – wykrzyknęła Julia odwracając się. – Zostaw moje włosy, nasiąkną tym zapachem; nie będę się go mogła pozbyć.

– Ba! Mówisz to tak, na wiatr, bo wiesz, że palę czasem. Nie bądź taka delikatna, zonusiu.

Nie zdołała się uwolnić z jego ramion dość szybko aby uniknąć pocałunku, jaki złożył gdzieś w okolicy szyi.

Szczęściem dla Julii pokojowa wróciła; nie ma bowiem nic wstrętniejszego dla kobiety niż te pieszczoty, które niemal równie śmiesznie jest odtrącać, jak przyjmować.

– Maryniu – rzekła pani de Chaverny – stanik u mojej niebieskiej sukni jest o wiele za długi. Widziałam dziś panią de Bégy, która ma zawsze tyle smaku: jej stanik był z pewnością o dwa palce krótszy. O, zrób zaraz szpilkami zakładkę, aby zobaczyć, jak to będzie wyglądało.

Tu zawiązał się między panią a pokojówką niezmiernie interesujący dialog co do ścisłych wymiarów, jakie powinien mieć stanik. Julia doskonale wiedziała, że Chaverny’ego nic tak nie drażni jak rozmowy o modach i że tym go wypłoszy. Jakoż po pięciu minutach krążenia po pokoju Chaverny widząc, że Julia cała jest pochłonięta swoim stanikiem, ziewnął przeraźliwie, wziął świecę i wyszedł, tym razem ostatecznie.



### III

Major Perrin siedział przy stoliku i czytał z uwagą. Jego mundur doskonale wyszczotkowany, czapeczka, a zwłaszcza niewzruszona sztywność torsu zwiastowały starego żołnierza. Wszystko w jego pokoju było schludne, ale niezmiernie proste. Kałamarz i dwa świeżo zacięte pióra spoczywały obok teczki z papierem listowym, z której nie zużyto ani ćwiartki co najmniej od roku. O ile major Perrin nie pisał, to w zamian czytał dużo. W tej chwili czytał *Listy perskie* paląc fajkę z morskiej piany i te dwa zajęcia tak dalece pochłaniały całą jego uwagę, że w pierwszej chwili nie spostrzegł majora de Châteaufort, który wszedł do pokoju. Był to młody oficer z jego pułku, śliczny chłopiec, bardzo sympatyczny, trochę zadowolony z siebie, bardzo popierany przez Ministerium Wojny, słowem przeciwieństwo majora Perrin pod każdym względem. Mimo to byli w przyjaźni, nie wiem czemu, i widywali się co dzień.

Châteaufort uderzył majora Perrin w ramię. Ten odwrócił głowę nie wypuszczając fajki. Pierwszym jego wrażeniem była radość z widoku przyjaciela; drugim żal – godny człowiek! – że musi porzucić książkę; trzecie wskazywało, że się z tym pogodził i że gotów jest najgorzej robić honory domu. Zapusił rękę do kieszeni, aby wyjąć klucz od szafy, gdzie kryła się szacowna skrzynka cygar, których major nie palił nigdy, ale które dawał po jednym swemu przyjacielowi; ale Châteaufort, który widział już sto razy ten gest, wykrzyknął:

– Zostawże, stary, schowaj swoje cygara; mam przy sobie! Po czym dobywając z wykwintnego futerału z meksykańskiej słomki cygaro koloru cynamonu, bardzo cienkie z obu końców, zapalił je i wyciągnął się na kanapce (którą Perrin nie posługiwał się nigdy), z głową na poduszce, z nogami na przeciwległym oparciu. Na razie Châteaufort otoczył się chmurą dymu, równocześnie, z zamkniętymi oczami, zdając się głęboko dumać nad tym, co ma powiedzieć. Twarz jego promieniała radością; zdawało się, że z trudem zamyka w piersi tajemnicę szczęścia, pałając równocześnie chęcią zdradzenia jej. Perrin, ustawivszy swoje krzesło na wprost kanapy, palił jakiś czas bez słowa; po czym, gdy Châteaufort nie kwapił się z rozmową, spytał:

– Jak się ma Urika?

Chodziło o karą klacz, którą Châteaufort zdrożył nieco i której groziło, że dostanie dychawicy.

– Bardzo dobrze – odparł Châteaufort, który nie słuchał pytania – Perrin! – krzyknął, wyciągając ku niemu nogę wspartą na poręczy kanapy – czy ty wiesz, żeś się w czepku rodził, że masz mnie za przyjaciela?...

Stary major szukał w myśli, jakie korzyści przyniosła mu znajomość z Châteaufortem, ale nie mógł znaleźć nic poza paroma funtami knastru oraz kilkoma dniami aresztu za to, że się wplątał w pojedynek, w którym Châteaufort odegrał pierwszą rolę. Przyjaciel dawał mu, trzeba przyznać, liczne dowody zaufania. Do niego zawsze Châteaufort zwracał się z prośbą o zastępstwo, ile razy miał służbę lub gdy potrzebował sekundanta.

Châteaufort niedługo zostawił go w niepewności; podał mu liścik pisany na gładkim angielskim papierze drobnym pismem. Major Perrin skrzywił się, co u niego oznaczało uśmiech. Często widywał podobne liściki adresowane tym drobnym pismem do swego przyjaciela.

– Masz – rzekł ten – czytaj. Mnie to zawdzięczasz.

Perrin przeczytał, co następuje:

*Byłby pan bardzo miły, drogi panie, gdyby pan zechciał przyjść do nas na obiad. Pan de Chaverny byłby pana prosił osobiście, ale zmuszony był wyjechać na polowanie. Nie znam*

*adresu pana majora Perrin i nie mogę do niego napisać z prośbą, aby panu zechciał towarzyszyć. Obudził pan we mnie taką ochotę poznania go, iż podwójnie będę panu wdzięczna, jeśli go pan przyprowadzi.*

*Julia de Chaverny*

*PS. Serdecznie panu dziękuję za nuty, które pan zechciał skopiować dla mnie. Aryjka jest czarująca, zawsze trzeba mi podziwiać pański smak. Nie pokazuje się pan na naszych czwartkach, wie pan wszakże, z jaką przyjemnością zawsze pana widzimy.*

– Ładne pismo, ale bardzo drobne – rzekł Perrin skończywszy. – Ale, u diabła! Ten hrabski obiad to wściekła piła; trzeba się wyróżnić w jedwabne pończochy i do tego żadnej fajeczki po obiedzie.

– To mi nieszczęście! Poświęcić fajkę dla najładniejszej kobiety w Paryżu!... Podziwiam tylko twoją wdzięczność. Nie dziękujesz mi za szczęście, które mi zawdzięczasz.

– Tobie dziękować! Ależ to nie tobie zawdzięczam ten obiad... jeśli w ogóle można mówić o zawdzięczaniu.

– A komuż?

– Chaverny'emu, który był u nas kapitanem. Pewnie powiedział żonie: „Zaproś Perrina, to dobry chłop”. Skądże chcesz, aby młodej kobiecie, którą w ogóle widziałem raz w życiu, wpadło do głowy zaprosić taką starą wojnę jak ja?

Châteaufort uśmiechnął się spoglądając w bardzo małe lusterko, które zdobiło pokój majora.

– Nie jesteś dziś zbyt przenikliwy, ojczulku Perrin. Odczytaj ten bilecik, a znajdziesz tam może coś, czego nie spostrzegłeś.

Major obracał bilecik na wszystkie strony i nie dojrzał nic.

– Jak to, stary dragonie! – wykrzyknął Châteaufort – nie widzisz, że ona cię zaprasza, aby mi zrobić przyjemność, jedynie, aby mi dowieść, że ceni moich przyjaciół... chce mi dać dowód... że...?

– Że co – przerwał Perrin.

– Że... no wiesz dobrze co.

– Że cię kocha? – spytał major tonem powątpiewania.

Châteaufort zagwizdał nie odpowiadając.

– Więc kocha się w tobie?

Châteaufort ciągle gwizdał.

– Powiedziała ci to?

– Ależ... to widać, o ile mi się zdaje.

– Jak to... w tym liście?

– Rozumie się.

Teraz Perrin z kolei gwizdnął. Gwizdnięcie jego było tak wymowne jak sławne *Lilii bulero* mego wujaszka Toby.

– Jak to! – wykrzyknął Châteaufort wydzierając list z rąk Perrina – nie widzisz, ile tam jest tkliwości... tak... tkliwości w tym liście? Co powiesz na to: „Drogi panie”? Zauważ, że w innym liście pisała do mnie tylko: „Łaskawy panie”, po prostu, „Będę panu podwójnie wdzięczna”: to wyraźne. I przypatrz się, jest tu potem jedno słowo wymazane: „tysiąc”; chciała napisać „tysiąc serdeczności”, ale nie śmiała; „tysiąc ukłonów”, to było nie dosyć... Nie dokończyła... Och, mój stary! Chciałbyś może, aby kobieta dobrze urodzona jak pani de Chaverny rzuciła się na szyję twego sługi jak szwaczka?... Powiadam ci, że list jest czarujący i że trzeba być ślepym, aby nie dojrzeć w nim namiętności... A te wymówki bez końca, dlatego, że opuściłem jeden czwartek, cóż ty na to?

– Biedna kobiecino! – wykrzyknął Perrin – nie zakochaj się w tym lalusiu: pożałowałabyś tego rychło!

Châteaufort nie zwrócił uwagi na apostrofę przyjaciela, ale ścisząc głos rzekł przymilnie:

– Czy wiesz, mój drogi, że mógłbyś mi oddać wielką przysługę?

– Jaką?

– Trzeba, abys mi pomógł w tej sprawie. Wiem, że mąż jest dla niej bardzo niedobry, ot, bydlę, które ją unieszczęśliwia... Znałeś go przecie, Perrin; powiedz jej, że to brutal, człowiek o najgorszej reputacji...

– Och!...

– Hulaka, lampart... wiesz. Miał kochanki, kiedy był w pułku; jakie kochanki! Powiedz to wszystko jego żonie.

– Och! Jakże takie rzeczy mówić? Powiadają: Nie kładź palca między drzwiami...

– Mój Boże! Jest sposób powiedzenia wszystkiego!... Zwłaszcza mów dobrze o mnie.

– To już łatwiej. Jednakże...

– Nie tak łatwo, słuchaj tylko; gdybym ci dał rozpuścić język, wyciąłbyś na mą cześć pochwałę, która by niewiele pomogła mojej sprawie... Powiedz jej, że od j a k i e g o s czasu uważasz, że jestem smutny, że już nie mówię, nie jem, nie pi...

– Nie! Tego już...! – wykrzyknął Perrin z głośnym śmiechem, który wprowadził jego fajkę w najpocieszniesz ruchy – tego nigdy nie potrafiłbym powiedzieć w oczy pani de Chaverny. Wczoraj wieczorem jeszcze trzeba cię było prawie wynosić po obiedzie, jaki nam wyprawili koledzy.

– Być może, ale tego nie ma potrzeby jej opowiadać. Dobrze jest, aby wiedziała, że się w niej kocham; a ci bazgracze romansów wmówili kobietom, że człowiek, który je i pije, nie może być zakochany.

– Co do mnie, nie znam nic, co by mnie mogło pozbawić apetytu i pragnienia.

– Zatem, drogi Perrin – rzekł Châteaufort kładąc kapelusz i poprawiając włosy – rzecz ułożona; w najbliższy czwartek przyjdę po ciebie; trzewiki i jedwabne pończochy, strój uroczysty. Zwłaszcza nie zapomnij mówić okropności o mężu, a wiele dobrego o mnie.

Wyszedł wywijając z wdziękiem laseczką i zostawiając majora Perrin wielce skłopotanego zaproszeniem, jakie otrzymał, a jeszcze bardziej stroskanego myślą o jedwabnych pończochach i uroczystym stroju.

## IV

Ponieważ kilka osób zaproszonych do państwa de Chaverny wymówiło się, obiad był nieco smutny. Châteaufort siedział obok Julii, skwapliwie usługując jej, greczny i miły jak zwykle. Mąż, który odbył tego rana długą przejażdżkę, był przy apetycie: jadł i pił w sposób zdolny obudzić zazdrość w ciężko chorym. Major Perrin dotrzymywał towarzystwa dolewając mu często i śmiejąc się do rozpuku, ilekroć rubaszna wesołość sąsiada dostarczyła po temu sposobności. Chaverny, odnajdując się w towarzystwie wojskowych, odzyskał natychmiast swój dawny humor i swoje koszarowe maniery; zresztą, nigdy nie był wybredny w konceptach. Żona przybierała chłodny i wzgardliwy wyraz za każdym rubasznym wybrykiem: obracała się w stronę Châteauforta i zaczynała z nim mówić na uboczu, aby się nie zdawało, że słucha rozmowy, która się jej wysoce nie podoba.

Oto próbka dworności tego wzoru małżonków. Pod koniec obiadu rozmowa przeszła na operę, roztrząsano zalety tancerek, między innymi chwalono wielce pannę X. Châteaufort przelicytował innych, sławiąc zwłaszcza jej wdzięk, postawę, skromne obejście.

Perrin, którego Châteaufort zaprowadził do opery parę dni wprzód i który był tam tylko jeden raz, pamiętał bardzo dobrze pannę X.

– Czy to – spytał – ta mała w różowym, która skacze jak kozłátko?... z tymi nóżkami, o których tyle mówiłeś, Châteaufort?

– A, mówiłeś o jej nogach! – wykrzyknął Chaverny. – Ale czy wiesz, jeżeli będziesz nadto o nich mówił, narazisz się swemu generałowi, księciu de J...! Ej, uważaj na siebie, kolego!

– Ależ nie sądzę, aby generał był aż tak zazdrosny i zabraniał patrzeć na nie przez lornetkę.

– Przeciwnie, jest z nich tak dumny, jak gdyby to on je odkrył. Cóż ty na to, majorze?

– Znam się na nogach tylko u koni – odparł skromnie stary żołnierz.

– Te są w istocie cudowne – podjął Chaverny – nie ma ładniejszych w Paryżu, wyjąwszy nogi... – Urwał i zaczął podkręcać wąsa patrząc jowialnie na żonę, która oblała się pąsem.

– Wyjąwszy nogi panny D...? – przerwał Châteaufort wymieniając inną tancerkę.

– Nie – odparł Chaverny tragicznym tonem Hamleta. – Ale spójrz na moją żonę.

Julia zrobiła się purpurowa z oburzenia. Rzuciła mężowi spojrzenie szybkie jak błyskawica, ale w którym malowały się wściekłość i wzgarda. Następnie siląc się zapanować nad sobą, obróciła się nagle do pana de Châteaufort.

– Trzeba – rzekła głosem lekko drżącym – abyśmy przestudiowali duet z *Maometto*. Musi panu doskonale leżeć w głosie.

Chaverny niełatwo dawał się zbić z tropu.

– Châteaufort – ciągnął – czy wiesz, że ja chciałem swego czasu kazać odlać w gipsie te nogi? Ale wiadoma osoba nigdy się nie zgodziła.

Châteaufort, któremu ta nieprzyzwoita rewelacja sprawiła żywą przyjemność, udał, że nie słyszy; zapuścił się z panią de Chaverny w rozmowę o *Maometto*.

– Osoba, o której mówię – ciągnął nielitościwy mąż – gorszyła się, kiedy się jej oddawało sprawiedliwość w tej mierze, ale w gruncie nie było jej to przykre. Czy wiecie, że każe swemu dostawcy pończoch brać miarę?... Żonusiu, nie gniewaj się... chciałem powiedzieć dostawczyni. I kiedy byłem w Brukseli, miałem z sobą trzy stronicę jej pisma z najdrobiazgowszą instrukcją tyczącą kupna pończoch.

Ale daremnie mówił, Julia postanowiła nie słyszeć nic. Rozprawiała z Châteaufortem, mówiła doń ze sztuczną wesołością, a wdzięczny jej uśmiech starał się go przekonać, że słucha tylko jego. Châteaufort ze swej strony zdawał się wyłącznie pochłonięty *Maomettem*; ale nie tracił ani słowa z brutalstw Chaverny'ego.

Po obiedzie oddano się muzyce; pani de Chaverny śpiewała przy klawikordzie z Châteaufortem. Chaverny znikł, w „chwili gdy otworzono klawikord. Nadeszło sporo gości, co nie przeszkodziło Châteaufortowi szeptać bardzo często z Julią. Wychodząc oświadczył koledze, że nie stracił wieczoru i że sprawy jego dobrze idą.

Perrin uważał za bardzo proste, że mąż mówił o nogach żony; toteż kiedy się znalazł sam na sam na ulicy z Châteaufortem rzekł z przejęciem:

– Jak ty masz serce mącić takie dobre małżeństwo? On tak kocha tę swoją kobiecinkę!

## V

Od miesiąca Chaverny był mocno pochłonięty myślą, aby zostać szambelanem.

Zdziwi się może ktoś, że człowiek otyły, leniwy, lubiący wygodę był dostępny ambicji; ale nie zbywało mu na argumentach, aby to usprawiedliwić. – Po pierwsze – powiadał przyjaciółom – wydaję wiele pieniędzy na łoża, które ofiarowuję kobietom. Piastując urząd dworski będę miał, nie wydając grosza, tyle łoż, ile zapragnę. A wiadomo, co można uzyskać łożami. Dalej, lubię polowanie: będę miał do dyspozycji lasy rządowe. Wreszcie teraz, kiedy już nie noszę munduru, nie wiem, jak się ubierać na bale dworskie; strój szambelański byłby mi bardzo do twarzy. – Zatem ubiegał się o klucz. Chciał, aby i żona mu w tym pomagała, ale odmówiła stanowczo, mimo że miała kilka wpływowych przyjaciółek. Chaverny oddał swego czasu drobną usługę księciu de H..., który był teraz w łaskach u dworu, liczył tedy na jego poparcie. Przyjaciół jego, Châteaufort, który miał również bardzo ładne znajomości, wspierał go z zapalem i oddaniem, z jakimi może spotkasz się kiedy, czytelniku, o ile jesteś mężem ładnej żony.

Pewna okoliczność bardzo posunęła sprawy Chaverny'ego, mimo że mogła mieć dlań dość smutne następstwa. Pani de Chaverny zdobyła, nie bez trudu, łożę w operze na jakąś premię. Łoża była na sześć miejsc. Mąż jej, wyjątkowo i po żywej dyskusji, zgodził się jej towarzyszyć. Otóż Julia chciała zaprosić pana de Châteaufort, czując zaś, że nie może z nim iść sama, skłoniła męża, aby się wybrał na to przedstawienie.

Natychmiast po pierwszym akcie Chaverny wyszedł, zostawiając żonę z przyjacielem. Oboje milczeli zrazu; Julia, bo bywała od pewnego czasu zakłopotana, ilekroć się znalazła sama z panem de Châteaufort; on, przecież miał swoje zamiary i ponieważ wydawało mu się właściwe okazać wzruszenie. Zerkając na salę ujrzał z przyjemnością, że lornetki znajomych skierowały się na łożę. Doznawał żywego zadowolenia na myśl, że wielu przyjaciół zazdrości jego szczęścia, prawdopodobnie przypisuje mu go więcej, niż było w rzeczywistości.

Julia, powąchawszy kilkakrotnie flakonik i bukiet, zaczęła mówić o gorącu, o przedstawieniu, o strojach. Châteaufort słuchał z roztargnieniem, wzdychał i kręcił się na krześle, spoglądał na Julię i wzdychał znowu. Julia zaczynała być niespokojna, kiedy naraz wykrzyknął:

– Jakże ja żałuję czasów rycerstwa!

– Rycerstwa? Czemuż to? – spytała Julia. – Zapewne dlatego, że w średniowiecznym stroju byłoby panu do twarzy?

– Uważa mnie pani za bardzo próżnego – rzekł z goryczą i smutkiem. – Nie, żałuję tych czasów... ponieważ człowiek, który miał odwagę... mógł pokusić się o... wiele rzeczy... O, wystarczyło rozplatać jakiegoś olbrzyma, aby zdobyć łaski damy... O, widzi pani na balkonie tego wielkoluda? Chciałbym, aby mi pani kazała obciąć mu wąsy, a w nagrodę pozwoliła mi powiedzieć sobie dwa słowa bez obawy pogniewania pani.

– Cóż za szaleństwo! – wykrzyknęła Julia rumieniąc się po białka, gdyż domyślała się, co to za dwa słowa. – Ale o, widzi pan, tam: pani de Sainte-Hermine w wyciętej sukni i w balowej toalecie, w jej wieku!

– Widzę tylko jedno, że pani nie chce mnie zrozumieć, i już od dawna to zauważyłem... Kaze mi pani, milcząc; ale... – dodał cicho – zrozumiała mnie pani...

– Nie, doprawdy – rzekła sucho Julia. – Ale gdzie poszedł mąż?

Wszedł ktoś do łoży, w samą porę, aby ją wydobyć z kłopotu. Châteaufort nie otworzył ust. Był blady i wydawał się zgnębiony. Kiedy gość wyszedł, rzucił parę obojętnych uwag o widowisku. Zapadało raz po raz długie milczenie.

Drugi akt miał się zacząć, kiedy otwarły się drzwi; zjawił się Chaverny prowadząc kobietę bardzo ładną i bardzo strojną, ze wspaniałymi różowymi piórami na głowie. Za nią szedł książę de H...

– Moja droga – rzekł Chaverny do żony – zastałem księcia i panią w okropnej bocznej łoży skąd nic nie widać. Zechcieli przyjąć miejsce w naszej.

Julia skłoniła się zimno; nie czuła sympatii do księcia de H... Książę i dama z różowymi piórami rozwiedli się w przeprosinach, obawiali się sprawić kłopot. Zrobił się ruch, stoczono pojedynki szlacheckich przy wyborze miejsc. W chwilowym zamęcie Châteaufort pochylił się do ucha Julii i rzekł cicho a szybko:

– Na miłość boską, niech pani nie siada na przodzie.

Julia, bardzo zdziwiona, została na swoim miejscu. Skoro wszyscy usiedli, obróciła się do pana de Châteaufort i dość surowym spojrzeniem zażądała wyjaśnień. On siedział sztywno, z zaciśniętymi ustami; cała jego postawa świadczyła, że jest bardzo niezadowolony. Zastanawiając się nad tym Julia dość niekorzystnie wytłumaczyła sobie przestrożę Châteauforta. Pomyślała, że chce w czasie przedstawienia szeptać do niej i dalej prowadzić swoją szczególną rozmowę, co byłoby niemożliwe, gdyby została na przodzie. Spojrzawszy na salę, zauważyła, że kilka kobiet skierowało lornetki na łożę; lecz tak bywa zawsze za zjawieniem się nowej twarzy. Szeptano, uśmiechano się; ale cóż w tym nadzwyczajnego? Opera to takie małe miasteczko!

Nieznajoma dama pochyliła się nad bukietem Julii i rzekła z czarującym uśmiechem:

– Ma pani prześliczny bukiet, droga pani. Pewna jestem, że w tym sezonie to musi kosztować masę pieniędzy: przynajmniej dziesięć franków. Ale pani go dostała! To podarek, nieprawda? Damy nigdy nie kupują bukietów.

Julia otwierała szeroko oczy nie wiedząc, co to za parafianka, z którą się znalazła.

– Książę – rzekła dama omdlewającym głosem – nie dałeś mi, książę, bukietu.

Chaverny rzucił się ku drzwiom. Książę chciał go zatrzymać, dama także; już jej przeszła ochota na bukiet. Julia wymieniła spojrzenie z panem de Châteaufort. Znaczyło ono: „Dziękuję panu, ale już za późno”. Nie odgadła jeszcze wszystkiego!

Podczas całego przedstawienia upierzona dama bębniła palcami nie w takt i plotła brednie o muzyce. Wypytywała Julię o cenę sukni, klejnotów, koni. Nigdy Julia nie widziała podobnego zachowania. Doszła do wniosku, że ta dama to musi być krewniaczka księcia przybyła gdzieś z zapadłej Bretanii. Kiedy Chaverny wrócił z ogromnym bukietem, o wiele piękniejszym niż bukiet żony, zachwyтом, podziękowaniom, usprawiedliwieniom nie było końca.

– Panie de Chaverny, ja nie jestem niewdzięczna – rzekła mniemana parafianka. – Aby panu tego dowieść, niech mi pan przypomni, abym panu coś przyrzekła, jak mówi aktor Potier. Doprawdy, wyhaftuję panu sakiewkę, skoro skończę tę, którą przyrzekłam księciu.

Wreszcie opera skończyła się, ku zadowoleniu Julii, która nieswojo się czuła obok szczególnej sąsiadki. Książę ofiarował jej ramię. Chaverny podał rękę drugiej damie. Châteaufort, z chmurną i niezadowoloną miną, szedł za Julią kłaniając się z przymusem znajomym na schodach.

Kilka kobiet minęło ich. Julia знаła je z widzenia. Jakiś młody człowiek szeptał im coś do ucha podśmiechując się; przyjrzały się natychmiast z zaciekawieniem Chaverny’emu i jego żonie, a jedna krzyknęła:

– Czy to możliwe!

Zajechał powóz księcia; książę skłonił się pani de Chaverny dziękując jeszcze raz za jej uprzejmość. Chaverny odprowadził nieznajomą damę aż do powozu księcia, tak że Julia i Châteaufort zostali chwilę sami.

– Kto jest ta kobieta? – spytała Julia.

– Nie powinienem pani tego mówić... bo to jest coś niesłychanego!

– Jak to?

– Zresztą, wszyscy, którzy panią znają, będą wiedzieli, co o tym sądzić... Ale Chaverny!... Nigdy nie byłbym przypuszczał.

– Ale cóż wreszcie! Niech pan mówi, na miłość boską! Kto jest ta kobieta?

Chaverny wracał. Châteaufort odparł cicho:

– Kochanka księcia de H... pani Melania R...

– Wielki Boże! – wykrzyknęła Julia patrząc na pana de Châteaufort ze zgrozą – to niemożliwe!

Châteaufort wzruszył ramionami i odprowadzając ją do powozu dodał:

– To właśnie mówiły te panie, które spotkaliśmy na schodach. Co się jej tyczy, to osoba w swoim rodzaju wcale przyzwoita. Trzeba jej starań, względów... Ma nawet męża.

– Moja droga – rzekł Chaverny wesoło – obejdiesz się beze mnie, aby wrócić do domu. Dobranoc. Idę na kolację do księcia.

Julia nie odpowiedziała nic.

– Châteaufort – ciągnął Chaverny – czy chcesz iść ze mną do księcia? Jesteś zaproszony, powiedziano mi właśnie. Zauważono cię... Spodobałeś się, ladaco!

Châteaufort podziękował chłodno. Pożegnał panią de Chaverny, która gryzła z wściekłości chusteczkę, kiedy powóz jej ruszył.

– No, a teraz – rzekł Chaverny – mam nadzieję, że mnie choć odwieziesz kabrioletem aż pod dom tej donny.

– Chętnie – odparł wesoło Châteaufort – ale słuchaj no, czy ty wiesz, że żona twoja zrozumiała w końcu, z kim się znalazła w łóżku?

– Niemożliwe.

– Możesz być pewny, i to nie było dobrze z twojej strony.

– Ba! Ona jest w bardzo dobrym tonie; przy tym nie znają jej jeszcze zbyt. Księżę prowadzi ją wszędzie.



## VI

Pani de Chaverny spędziła noc bardzo niespokojną. Zachowanie męża w operze dopełniało miary jego win wobec niej i wymagało, jak sądziła, natychmiastowej separacji. Postanowiła nazajutrz się z nim rozmówić i oznajmić swoją decyzję niezycia nadal pod jednym dachem z człowiekiem, który ją tak okrutnie skompromitował. Mimo to owo wyjaśnienie przerażało ją. Nigdy jeszcze nie rozmawiała poważnie z mężem. Dotąd wyrażała swoje niezadowolenie jedynie dąsami, na które Chaverny nie zwracał uwagi; zostawiając żonie zupełną swobodę nie byłby nigdy pomyślał, że ona mogłaby mu odmawiać pobłażania, które on w danym razie skłonny był okazać jej. Lękała się zwłaszcza, aby się nie rozplakać w czasie tych wyjaśnień i aby Chaverny nie przypisał tych łez zranionej miłości. W tej chwili żywo bolała nad nieobecnością matki, która by mogła dać jej dobrą radę lub podjąć się oznajmienia mężowi separacji. Wszystkie te refleksje pogrążyły ją w niepewności; kiedy już zasypiała, postanowiła poradzić się jednej z przyjaciółek, która ją знаła niemal od dziecka, i zdać się na jej rozsądek w całej sprawie z mężem.

Dając upust swemu oburzeniu nie mogła się wstrzymać od mimowolnego porównania między mężem a panem Châteaufort. Gruboskórność męża uwydatniła delikatność wielbiciele; uznawała z przyjemnością (mimo iż wyrzucając to sobie), iż kandydat na kochanka bardziej dba o jej reputację niż własny mąż. To porównanie natury moralnej przywiodło ją bezwiednie do stwierdzenia wykwintnych manier Châteauforta i niezbyt wytwornej postaci Chaverny'ego. Widziała męża, z wydatnym nieco brzuszkiem, jak ciężko nadskakuje kochance księcia de H..., gdy Châteaufort, bardziej jeszcze pełen szacunku niż zazwyczaj, wyraźnie silił się utrzymać koło niej atmosferę czci, której mąż mógł ją pozbawić. Wreszcie – jako że myśli nasze unoszą nas daleko mimo naszej woli – wyobraziła sobie niejedną raz, że mogłaby zostać wdową i że wówczas, młoda, bogata, mogłaby legalnie uwieńczyć wierną miłość sympatycznego majora. Jedna nieszczęśliwa próba nie była jeszcze dowodem przeciw małżeństwu i jeżeli przywiązanie pana de Châteaufort jest szczerą... Ale natychmiast odpędzała te myśli, za które się rumieniła, i przyrzekała sobie zachować się w stosunku do niego wstrzeźliwiej niż kiedykolwiek.

Obudziła się z silnym bólem głowy, bardziej jeszcze niż w wilię daleka od stanowczej rozprawy. Nie zeszła na śniadanie, aby nie spotkać męża, kazała sobie podać herbatę do pokoju i poleciła zaprzęgać z zamiarem udania się do pani Lambert, owej przyjaciółki, której się chciała poradzić. Dama ta bawiła wówczas u siebie na wsi w P...

Przy śniadaniu wzięła do rąk dziennik. Pierwszy artykuł, który jej wpadł w oczy, brzmiał tak:

*Pan Darcy, pierwszy sekretarz ambasady francuskiej w Konstantynopolu, przybył przedwczoraj do Paryża wioząc depesze. Młody dyplomata miał natychmiast po przybyciu długą konferencję z Jego Ekscelencją panem ministrem spraw zagranicznych.*

– Darcy w Paryżu! – wykrzyknęła. – Miło mi będzie go zobaczyć. Czy zrobił się bardzo sztywny? M ł o d y d y p l o m a t a! Darcy, młody dyplomata! I nie mogła się wstrzymać od śmiechu z tego słowa: M ł o d y d y p l o m a t a.

Ów Darcy uczęszczał niegdyś pilnie na wieczorki u pani Lussan; był to wówczas attache przy Ministerium Spraw Zagranicznych. Opuścił Paryż jakiś czas przed małżeństwem Julii i od tego czasu nie widziała go. Wiedziała tylko, że dużo podróżował i że uzyskał szybki awans.

Trzymała jeszcze dziennik w ręku, kiedy wszedł mąż. Był w wyśmienitym humorze. Na jego widok wstała, aby wyjść; że jednak trzeba by przejść tuż koło niego, aby się dostać do

gotowalni, została, ale tak wzruszona, że ręka jej, wsparta o stolik do herbaty, wprawiała w drżenie serwis porcelanowy.

– Moja droga – rzekł Chaverny –przychodzę cię pożegnać na kilka dni. Jadę na polowanie do księcia de H... Muszę ci powiedzieć, że jest zachwycony twoją wczorajszą gościnnością. Sprawy moje idą dobrze, przyrzekł polecić mnie najusilniej królowi.

Słuchając to Julia bladła i czerwieniła się.

– Należy ci się to od księcia de H... – rzekła drżącym głosem. – Nie może odmówić takiej drobnostki komuś, kto kompromituje w najskandaliczniejszy sposób własną żonę z kochanką swego protektora.

Następnie czyniąc rozpaczliwy wysiłek przeszła majestatycznie pokój, weszła do gotowalni i zamknęła drzwi z siłą.

Chaverny stał chwilę ze spuszczoną głową, zmieszany.

„Skąd ona, u diabła, wie? – pomyślał. – Wreszcie, pal licho! Stało się!”

Że zaś nie miał zwyczaju przetrwać długo niemiłych myśli, okręcił się na pięcie, wziął kawałek cukru z cukierniczki i krzyknął z pełnymi ustami do wchodzącej pokojówki:

– Powiedz żonie, że zostanę na cztery lub pięć dni u księcia de H... i że jej przyślę zwierzynę.

Wyszedł myśląc już tylko o bażantach i rogaczach, które spodziewał się zabić.

## VII

Julia pojechała do P... jeszcze bardziej oburzona na męża; ale tym razem przyczyna była dość błaha: jadąc do księcia wziął nowy powóz zostawiając żonie drugi, który wedle uznania stangreta wymagał reperacji.

Przez drogę pani de Chaverny przysposabiała się do opowiedzenia swej przygody pani Lambert. Mimo swych zmartwień nie była nieczuła na zadowolenie, jakie każdemu opowiadającemu daje dobrze skomponowana historia, obmyśliła tedy swoją opowieść, zmieniając jej plan i zaczynając to tak, to inaczej. Z tego wynikało, że ujrzała potworności swego męża z rozmaitych punktów widzenia i że uraza jej odpowiednio się wzmogła.

Jak wiadomo, z Paryża do P... jest przeszło cztery mile; mimo iż akt oskarżenia pani de Chaverny był długi, każdy pojmie, że nawet najzacieklejszej nienawiści niepodobna jest karmić jedna, myślą przez cztery mile. Do gwałtownych uczuć, jakie obudziły w niej winy męzowskie, domieszały się słodkie i melancholijne wspomnienia, dzięki osobliwej właściwości myśli ludzkiej, która często kojarzy miłe obrazy z przykrymi wrażeniami.

Czyste powietrze, pogodne niebo, niefrasobliwe twarze przechodniów – wszystko to przyczyniło się również do wyrwania jej z kręgu nienawiści. Przypomniała sobie sceny z dzieciństwa, dnia, kiedy uganiała po polach z rówieśnicami. Wywoływała w myśli postacie koleżanek z klasztoru, brała udział w ich zabawach, w ich posiłkach. Odcyfrowywała zwierzenia zasłyszane od *d u ż y c h* i nie mogła się wstrzymać od uśmiechu myśląc o mnóstwie drobnych rysów, które tak wcześniej zdradzają zmysł zalotności u kobiet.

Następnie odtwarzała sobie swoje wejście w świat. Tańczyła na nowo na najświetniejszych balach, które widziała w owym roku po wyjściu z klasztoru. Innych balów zapomniała; człowiek oswaja się tak szybko; ale te bale przypomniały jej męża. „Ja szalona! – powiadała sobie. – Jakim cudem nie odgadłam od pierwszego spojrzenia, że będę z nim nieszczęśliwa?” Wszystkie brednie, wszystkie trywialności narzeczeńskie, jakimi biedny Chaverny karmił ją z taką pewnością siebie na miesiąc przed ślubem, wszystko to znalazło się zapisane, zarejestrowane w jej pamięci. Równocześnie nie mogła się wstrzymać od myśli o licznych wielbiicielach, których zameście jej przywiódło do rozpacz, a którzy niemniej pożenili się sami lub pocieszyli się inaczej w niewiele miesięcy. „Czy byłabym szczęśliwa z innym? – pytała sama siebie. – Pan A... jest stanowczo głupiec, ale nieszkodliwy, Amelia robi z nim, co chce. Zawsze można jakoś wyżyć z mężem, który ulega. B... ma kochanki, a żona jego jest tak pocziwa, że się tym martwi. Poza tym jest pełen względów dla niej... nie żądałabym niczego więcej. Młody hrabia de C..., który wciąż czyta pamflety i który zadaje sobie tyle trudu, aby być kiedyś dobrym posłem, będzie może niezłym mężem? Tak, ale wszyscy oni są nudni, brzydcy, głupi...” Gdy tak czyniła przegląd wszystkich młodych ludzi, których znała będąc panną, nazwisko Darcy’ego nastreczyło się jej myślom po raz drugi.

Darcy był niegdyś w towarzystwie pani de Lussan istotą bez znaczenia, to znaczy wiedzianno... matki wiedziały, że położenie majątkowe nie pozwala mu myśleć o ich córkach. Z ich punktu widzenia nie miał nic, co by mogło zawrócić w młodych główkach. Poza tym miał opinię porządnego człowieka. Z usposobienia nieco mizantrop i tetryk, lubił, znalazłszy się w gronie panien, drwić ze śmieszności i pretensyj innych młodych ludzi. Kiedy rozmawiał po cichu z jaką panną, matki nie niepokoiły się, bo córki śmiały się na cały głos; matki tych, które miały ładne zęby, powiadały nawet, że Darcy jest – bardzo miły.

Wspólność upodobań oraz wzajemny lęk przed ich talentem do odmowy zbliżyły Julię i pana Darcy. Po kilku utarczkach zawarli traktat pokoju, przymierze zaczepno – odporne; oszczędzali się wzajem i pomagali sobie w roztaczaniu zalet towarzyskich.

Pewnego wieczora poproszono Julię, aby coś zaśpiewała. Miała ładny głos i wiedziała o tym. Podchodząc do klawikordu, nim zaczęła śpiewać, powiodła po kobietach nieco dumnym

wzrokiem, jakby je chciała wyzywać. Otóż tego wieczoru jakaś niedyspozycja lub też nie-szczęśny przypadek pozbawiły ją prawie zupełnie głosu. Pierwsza nuta, która wyszła z tego zazwyczaj melodyjnego gardziołka, była zdecydowanie fałszywa. Julia zmieszana się, poplątała wszystko, chybiła wszystkie akcenty; krótko mówiąc, fiasko było zupełne. Zmieszana, bliska płaczu Julia opuściła klawikord; wracając na swoje miejsce nie mogła nie dostrzec źle ukrywanej radości przyjaciółek na widok jej upokorzonych dumy. Nawet mężczyźni z trudem powściągali uśmiech. Spuściła oczy ze wstydu i złości i jakiś czas nie śmiała ich podnieść. Kiedy podniosła głowę, pierwszą przyjazną twarzą, którą ujrzała, była twarz pana Darcy. Był blady, w oczach jego widniały łzy; zdawał się bardziej wzruszony jej klęską niż ona sama. „Kocha mnie – pomyślała – kocha mnie naprawdę”. Tej nocy nie mogła usnąć, smutna twarz pana Darcy stała jej wciąż przed oczyma. Dwa dni myślała tylko o nim i o tajemniczej miłości, jaką musi żywić dla niej. Romans czynił postępy, kiedy pani de Lussan zastała u siebie kartę pana Darcy z tymi trzema literami: P.P.C.<sup>1</sup>

– Dokąd wyjeżdża Darcy? – spytała Julia kogoś ze znajomych.

– Dokąd? Pani nie wie? Do Konstantynopola. Jedzie tej nocy jako kurier.

„Nie kocha mnie zatem!” – pomyślała. W tydzień później zapomniała o panu Darcy. Darcy, który był wówczas dość romantyczny, pamiętał o Julii osiem miesięcy. Aby usprawiedliwić Julię i wytłumaczyć tę zadziwiającą różnicę stałości, trzeba wziąć pod uwagę, że Darcy był wśród barbarzyńców, gdy Julia była w Paryżu otoczona hołdami i rozrywkami.

Jak bądź się rzeczy miały, w sześć czy siedem lat po tym rozstaniu Julia w powozie na drodze do P... przypomniawszy melancholijny wyraz twarzy pana Darcy w dniu, w którym tak źle śpiewała; i jeżeli mamy wyznaczyć, pomyślała o prawdopodobnym uczuciu, jakie wówczas żywił dla niej, może nawet i o uczuciach, jakie mógł jeszcze zachować. Wszystko to zajęło ją dość żywo na przeciąg pół mili. Następnie pan Darcy utonął w zapomnieniu po raz trzeci.

---

<sup>1</sup> Pour prendre congé – ceremonialna forma pożegnania.

## VIII

Julia była bardzo nierada, kiedy wjeżdżając do P... ujrzała w dziedzińcu powóz, z którego wyprzęgano konie, co zwiastowało dłuższą wizytę. Tym samym niepodobna było rozwinąć aktu oskarżenia przeciw panu de Chaverny.

Kiedy Julia weszła do salonu, pani Lambert znajdowała się tam w towarzystwie osoby, którą Julia spotykała w świecie, ale którą znała ledwie z nazwiska. Trzeba jej było wysiłku, aby pokryć niezadowolenie z tego, że tak bezużytecznie podjęła podróż do P...

– O! Jak się masz, ślicznotko! – wykrzyknęła pani Lambert ściskając ją – jakaż rada jestem, żeś o mnie nie zapomniała! Nie mogłaś przyjść bardziej w porę: spodziewam się dziś mnóstwa osób, które przepadają za tobą.

Julia odpowiedziała z przymusem, że spodziewała się zastać panią Lambert samą.

– Będą uszczęśliwieni z twego widoku – podjęła pani de Lambert. – Mój dom jest tak smutny od zameścia córki, że czuję się aż nazbyt szczęśliwa, kiedy moi przyjaciele zechcą sobie naznaczyć schadzkę u mnie. Ale, drogie dziecko, coś ty zrobiła ze swymi kolorami? Jakaś mi jesteś bardzo blada dzisiaj.

Julia wymyśliła małe kłamstwo: długa droga... kurz... słońce...

– Mam właśnie dziś na obiedzie jednego z twoich wielbicieli, któremu sprawię miłą niespodziankę, pana de Châteaufort, i prawdopodobnie jego wiernego Achatesa, majora Perrin.

– Miałam przyjemność widzieć niedawno u siebie majora Perrin – rzekła Julia rumieniąc się nieco, myślała bowiem o panu Châteaufort.

– Spodziewam się także pana de Saint – Leger. Trzeba koniecznie, aby tu zorganizował serię „przysłów” na najbliższy miesiąc i ty będziesz w nich grała, mój aniele: byłaś naszą primadonną przed dwoma laty.

– Mój Boże, droga pani, już tak dawno nie grałam w „przysłowia”, że nie umiałabym odnaleźć dawnej weny.

– Ale, ale, Julio, dziecko, zgadnij, kogo oczekujemy jeszcze. Ale co się tyczy tego gościa, to trzeba mieć dobrą pamięć, aby go sobie przypomnieć.

Natychmiast nastęczyło się Julii nazwisko pana Darcy.

„Prześladuje mnie, doprawdy” – pomyślała.

– Pamięć, powiada pani?... Mam dobrą pamięć.

– Ale ja rozumiem pamięć na sześć czy siedem lat. Czy przypominasz sobie jednego ze swoich adiutantów, kiedy byłaś młodą panią i nosiłaś włosy na gładko?

– Doprawdy nie zgaduję.

– Cóż za okropność! Dziecko... Tak zapomnieć przemiłego człowieka, który – jeśli się nie mylę – podobał ci się niegdyś do tego stopnia, że matka twoja była prawie niespokojna. A więc, kochanie, skoro tak zapominasz swoich wielbicieli, trzeba ci przypomnieć ich nazwiska: ujrzysz tu pana Darcy.

– Pana Darcy?

– Tak; wrócił wreszcie z Konstantynopola, zaledwie od kilku dni. Był u mnie przedwczo-raj i zaprosiłam go. Czy wiesz, niewdzięczna istoto, że pytał się o ciebie ze skwapliwością bardzo, ale to bardzo wymowną?

– Pan Darcy?... – rzekła Julia wahając się i z udanym roztargnieniem – pan Darcy?... Czy to nie taki wysoki blondyn... jest sekretarzem ambasady?

– Och, moja droga, nie poznałabyś go; bardzo się zmienił; jest blady lub raczej oliwkowy, oczy wpadnięte; stracił dużo włosów z przyczyny gorąca, jak powiada. Za dwa lub trzy lata, jeśli tak pójdzie, będzie z przodu zupełnie łysy. A nie ma jeszcze trzydziestu lat.

Tu dama, która była świadkiem opowiadania o nieszczęściu pana Darcy, usilnie zaleciła użytek kalidoru, który jej bardzo pomógł po chorobie połączonej z wypadaniem włosów. Mówiąc przeciągała palce po obfitych puklach pięknego kasztanowatego koloru.

– Czy pan Darcy spędził cały ten czas w Konstantynopolu? – spytała pani de Chaverny.

– Niezupełnie, wiele podróżował: był w Rosji, zjeździł całą Grecję. Czy nie słyszałaś o jego szczęściu? Wuj jego umarł, zostawił mu ładny majątek. Był także w Azji Mniejszej, w tej... jakże on tam nazywa... w Karamanii. Jest uroczy, moje dziecko; opowiada cudowne historie, którymi będziesz zachwycona. Wczoraj opowiedział mi parę tak ładnych, że wciąż mu powtarzałam: „Ależ niech pan je schowa na jutro; opowie pan pięknym paniom, zamiast je marnować z taką starą mamusią jak ja”.

– Czy opowiedział pani swoją przygodę z Turczynką, której ocalił życie? – spytała pani Dumanoir, wyznawczyni kalidoru.

– Turczynka, której ocalił życie? On ocalił życie? Nie wspominał mi o tym ani słowa.

– Jak to! Ależ to wspomniały czyn, istny romans.

– Och! Niech nam to pani opowie, proszę panią.

– Nie, nie, trzeba poprosić jego samego. Ja znam tę historię jedynie od siostry, której mąż, jak pani wie, był konsulem w Smyrnie. Ale ona słyszała ją od Anglika, który był świadkiem całej przygody. To cudowne.

– Niechże nam pani opowie. Jakże pani chce, abyśmy mogły czekać do obiadu? Nie ma nic okropniejszego niż słyszeć coś o jakiejś historii, której się nie zna.

– Więc dobrze, zepsuję ją pani; powiem po prostu tak, jak mnie ją opowiedziano: Pan Darcy wędrował po Turcji dla zbadania jakichś tam ruin nad morzem, kiedy ujrzał zbliżającą się ku niemu posępną procesję. Byli to niemi, którzy nieśli worek, a ten worek ruszał się, jak gdyby w nim było coś żywego...

– Och! Boże! – wykrzyknęła pani Lambert, która czytała *Giaura* – to kobieta, którą mieli wrzucić do morza.

– Właśnie – ciągnęła pani Dumanoir, nieco dotknięta, że jej zepsuto najdramatyczniejszy rys. – Pan Darcy spogląda na worek, słyszy głuchy jęk i zgaduje straszliwą prawdę. Pyta niemych, co chcą uczynić; za całą odpowiedź niemi dobywają sztyletów. Pan Darcy był na szczęście bardzo dobrze uzbrojony. Rozpędza niewolników, wydobywa z worka kobietę czarującej piękności, w półzemdloną, i odprowadza ją do miasta, aby pomieścić w bezpiecznym schronieniu.

– Biedna kobieta! – rzekła Julia, którą opowiadanie zaczęło zajmować.

– Sądzi pani, że już ocalona? Wcale nie. Zazdrosny mąż (bo to był mąż) poruszył całą ludność, która zebrała się pod domem pana Darcy z pochodniami, chcąc go spalić żywcem. Nie wiem dobrze końca; wszystko, co wiem, to że wytrzymał oblężenie i że ocalił w końcu tę kobietę. Zdaje się nawet – dodała pani Dumanoir zmieniając nagle wyraz i przybierając po-bożny ton głosu – że pan Darcy postarał się o jej nawrócenie i że przyjęła chrzest.

– I pan Darcy ożenił się z nią? – spytała Julia z uśmiechem.

– Co do tego nie umiem pani objaśnić. Ale ta Turczynka miała jakieś szczególne miano; nazywała się Emineh. Rozkochała się gwałtownie w panu Darcy. Siostra mówiła mi, że nazywała go ciągle *Sotir... Sotir...* to znaczy po turecku i po grecku mój zbawca. Eulalia mówiła mi, że to była jedna z ładniejszych osób, jakie się zdarza spotkać.

– Będziemy go prześladowały Turczynką! – wykrzyknęła pani Lambert – nieprawdaż, moje panie? Trzeba go podręczyć trochę. Zresztą ten czyn pana Darcy nie dziwi mnie wcale; to jeden z najszlachetniejszych ludzi, jakich znam; wiem o jego postępkach, które mi ściągają łzy do oczu za każdym razem, kiedy je opowiadam. Wuj jego umarł zostawiając naturalną córkę, której nigdy nie uznał. Ponieważ nie zostawił testamentu, nie miała żadnego prawa do spadku. Darcy, który był jedynym spadkobiercą, przyznał jej część sukcesji i prawdopodobnie ta część była większa, niżby ją wuj sam wyznaczył.

– Czy ładna była ta naturalna córka? – spytała pani de Chaverny dość uszczypliwie, czuła bowiem potrzebę mówienia źle o tym Darcym, którego nie mogła wygnać z myśli.

– Och, moja droga, jak możesz przypuszczać?... Zresztą pan Darcy był jeszcze w Konstantynopolu, kiedy wuj umarł, i prawdopodobnie na oczy nie widział swej kuzynki.

Przybycie pana de Châteaufort, majora Perrin i kilku jeszcze osób położyło kres tej rozmowie. Châteaufort usiadł koło pani de Chaverny i korzystając z chwili, w której było bardzo głośno, rzekł:

– Jest pani jakaś smutna; byłbym bardzo nieszczęśliwy, gdyby to, co pani powiedziała wczoraj, miało być przyczyną.

Pani de Chaverny nie usłyszała lub raczej nie chciała usłyszeć. Châteaufort doznał tego upokorzenia, że musiał powtórzyć zdanie, i większego jeszcze upokorzenia, iż otrzymał dość suchą odpowiedź, po której Julia włączyła się w ogólną rozmowę; przy czym, zmieniając miejsce, oddaliła się od nieszczęśliwego wielbiciela.

Nie zrażając się Châteaufort silił się daremnie na dowcip. Pani de Chaverny, ta jedyna, której się chciał podobać, słuchała z roztargnieniem: myślała o bliskim przybyciu pana Darcy, pytając równocześnie siebie, czemu się tyle zajmuje człowiekiem, którego powinna była zapomnieć i który prawdopodobnie również zapomniał o niej od dawna.

Wreszcie rozległ się turkot powozu; drzwi do salonu otwarły się.

– A! Oto on! – krzyknęła pani Lambert. Julia nie miała odwagi odwrócić głowy, ale zbłądła. Doznała nagłego uczucia zimna; potrzebowała zebrać wszystkie siły, aby ochłonać i nie pozwolić, by Châteaufort zauważył zmianę jej rysów.

Darcy ucałował rękę pani Lambert i rozmawiał z nią jakiś czas, po czym usiadł obok. Nastąpiła głęboka cisza: pani Lambert widocznie oczekiwała wzajemnego poznania się i przygotowywała je. Châteaufort i inni mężczyźni, z wyjątkiem pocziwego majora Perrin, przyglądali się panu Darcy z ciekawością nie wolną od zazdrości. Przybywając z Konstantynopola miał nad nimi wielką przewagę; był to wystarczający powód, aby ich oblec w ów wyraz sztywnego chłodu, jaki się zazwyczaj przybiera wobec obcych. Darcy, który nie zwracał uwagi na nikogo, pierwszy przerwał milczenie. Mówił o pogodzie, o drodze, mniejsza o czym; głos jego brzmiał słodko i melodyjnie. Pani de Chaverny spojrzała nań ukradkiem i zobaczyła go z profilu. Wydało jej się, że schudł, wyraz twarzy się zmienił... Ogółem zrobił na niej korzystne wrażenie.

– Mój drogi Darcy – rzekła pani Lambert – spójrzże dokoła siebie i popatrz, czy nie znajdziesz tu kogo z dawnych znajomych.

Darcy odwrócił głowę i spostrzegł Julię, która dotąd kryła się pod kapeluszem. Wstał żywo z okrzykiem zdziwienia, podszedł ku niej z wyciągniętą ręką, po czym zatrzymał się nagle i jakby przepaszając za ten zbytek poufałości, skłonił się Julii nisko i wyraził w stosownej formie radość, jakiej doświadcza oglądając ją znowu. Julia bąknęła parę uprzejmych słów i zacierwieniła się widząc, że Darcy wciąż stoi przed nią i przygląda się jej uważnie.

Odzyskawszy rychło przytomność umysłu, ona z kolei spojrzała nań owym roztargnionym i badawczym zarazem wzrokiem, który światowi ludzie umieją przybierać, kiedy zechcą. Był to słuszny i błady młodzieniec; rysy jego wyrażały spokój, ale spokój płynący nie tyle z natury, ile z panowania nad sobą. Czoło było sfałdowane wyraźnymi już zmarszczkami. Oczy miał głęboko osadzone, kąty ust opadały w dół, włosy na skroniach zaczynały rzednąć. Miał wszelako nie więcej niż trzydzieści lat. Darcy był ubrany bardzo skromnie, ale z owym wykwintem, który świadczy o obyciu w dobrym towarzystwie i o obojętności w przedmiocie, który wypełnia życie tylu młodych. Julia dokonała wszystkich tych spostrzeżeń z przyjemnością. Zauważyła również, że ma na czole dość długą bliznę, niedostatecznie pokrytą pasmem włosów, widocznie od cięcia szabli.

Julia siedziała obok pani Lambert. Między nią a panem de Châteaufort było wolne krzesło, ale skoro Darcy wstał, Châteaufort oparł rękę na grzbiecie krzesła, ustawił je na jednej nodze

i utrzymywał je tak w równowadze. Oczywiście było, że chce go pilnować, jak ów pies ogrodnika pilnował wiązki siana. Pani Lambert zlitowała się nad Darcym, który wciąż stał przed panią de Chaverny. Zrobiła miejsce przy sobie na kanapie i ofiarowała je panu Darcy, który w ten sposób znalazł się obok Julii. Skorzystał z tej szczęśliwej pozycji, zawiązując z nią rozmowę.

Niemniej trzeba mu było znieść ze strony pani Lambert i kilku innych osób grad pytań w przedmiocie jego podróży; ale okazał się dość lakoniczny w odpowiedziach i chwycił wszelką sposobność, aby powrócić do oddzielnej rozmowy z panią de Chaverny.

– Niech pan poda ramię pani de Chaverny – rzekła pani Lambert do Darcy’ego, w chwili gdy dzwon pałacowy oznajmił obiad.

Châteaufort przygryzł wargi, ale zdołał się umieścić przy stole dość blisko Julii, aby ją móc obserwować.



## IX

Po obiedzie, ponieważ wieczór był ciepły, skupiono się w parku koło ogrodowego stołu dla wypicia kawy.

Châteaufort zauważył z rosnącym niezadowoleniem względy, jakie Darcy okazuje pani de Chaverny. W miarę jak widział zajęcie, z jakim ona słuchała nowo przybyłego, on sam stawał się mniej miły; zazdrość, która go nurtowała, miała tylko ten skutek, że odjęła mu środki podobania się. Przechadzał się po tarasie nie mogąc wytrwać w miejscu, jak zwykle ludzie niepokojni, spoglądając często na duże czarne chmury, które zbierały się na widnokręgu i zwiastowały burzę, częściej jeszcze na swego rywala, który rozmawiał po cichu z Julią. To widział, że się uśmiecha, to stawała się poważna, to spuszczała nieśmiało powieki; znać było, że ani jedno słowo pana Darcy nie mija bez wrażenia. Gnębiło go zwłaszcza to, że zmienny wyraz, jaki przybierały rysy Julii, był jak gdyby odbłaskiem, odbiciem ruchliwej fizjonomii pana Darcy. Wreszcie, nie mogąc dłużej znieść tej męki, zbliżył się do Julii i pochylając się nad jej krzesłem, w chwili gdy Darcy udzielał komuś objaśnień co do brody sułtana Mahmuda, rzekł z goryczą:

- Zdaje się, pani, że pan Darcy to bardzo miły człowiek!
- Och, tak! – odparła pani de Chaverny z zapalem, którego nie mogła powściągnąć.
- Znać to – ciągnął Châteaufort – skoro dla niego zapomniała pani dawnych przyjaciół.
- Dawnych przyjaciół? – rzekła Julia dość oschle. – Nie wiem, co pan chce powiedzieć. – I odwróciła się. Następnie ujmując róg chustki, którą pani Lambert trzymała w ręce:
- Jaki ładny haft – rzekła. – Cudowna robota.
- Podoba ci się, moja droga? To podarek pana Darcy, który mi przywiózł, sama nie wiem, ile haftowanych chusteczek z Konstantynopola. Słuchaj no, Darcy, czy to pańska Turczynka haftowała?
- Moja Turczynka? Co za Turczynka?
- No, ta piękna sułtanka, której pan ocalił życie, która pana nazywała... ach! wiemy wszystko... która pana nazywała... swoim... no... swoim zbawcą. Pan musi wiedzieć, jak się to mówi po turecku.
- Czy podobna – zawołał – aby rozgłos mej smutnej przygody dotarł aż do Paryża? Darcy uderzył się w czoło ze śmiechem.
- Ależ w tym nie ma żadnej smutnej przygody; chyba może dla tego *mamamuszi*, który postradał swoją faworytkę.
- Niestety! – odparł Darcy – widzę, że pani zna tylko połowę historii, jest to przygoda dla mnie równie smutna, jak przygoda z wiatrakami smutna była dla don Kichota. Trzebaż, abym dawszy tyle przyczyn do śmiechu Frankom był jeszcze przedmiotem pośmiewiska w Paryżu za jeden jedyny czyn błędnego rycerza, jakim się kiedy splamiłem!
- Jak to! Ależ my: nic nie wiemy. Niech nam pan opowie! – wykrzyknęły wszystkie damy.
- Powinien bym – rzekł Darcy – zostawić państwa przy tym, co już znacie, i wymówić się od dalszego ciągu, którego wspomnienia nie są dla mnie bynajmniej miłe; ale jeden z moich przyjaciół... proszę panią Lambert o pozwolenie przedstawienia go, sir John Tyrrel... jeden z moich przyjaciół, również aktor tej tragikomedii, przybędzie niebawem do Paryża. Mógłby sobie uczynić tę złośliwą przyjemność, aby mi użyczyć w swoim opowiadaniu roli jeszcze pociesniejszej niż ta, którą odegrałem. Oto więc fakt: skoro ta nieszczęśliwa kobieta znalazła się w konsulacie francuskim...
- Och! Ale niechże pan zacznie od początku! – wykrzyknęła pani Lambert.
- Ale państwo już znają.
- Nie znamy nic i chcemy, aby pan nam opowiedział całą historię od początku do końca.

– A więc trzeba wiedzieć, że byłem w Larnaca w roku 18... Pewnego dnia wyszedłem na miasto, aby rysować. Był ze mną młody Anglik, bardzo miły, poczciwy chłopiec, trochę urwis, nazwiskiem sir John Tyrrel, jeden z owych ludzi niezmiernie szacownych w podróży, ponieważ myślą o obiedzie, nie zapominają zapasów i są zawsze w dobrym humorze. Poza tym podróżował bez celu i nie znał ani geologii, ani botaniki, gałęzi wiedzy bardzo przykrych u towarzysza podróży.

Usiadłem w cieniu jakiejś ruiny, może o dwieście kroków od morza, nad którym w tej okolicy wznoszą się urwiste skały. Byłem bardzo zajęty rysowaniem szczątków sarkofagu, gdy sir John, wyciągnięty na trawie, drwił sobie z mojej nieszczęśliwej namiętności do sztuk pięknych, pałac rozkoszny tytoń latakię. Obok nas dragoman Turek, którego przyjęliśmy do naszych usług, przyrządzał nam kawę. Był to najlepszy kawiarz i największy tchórz ze wszystkich Turków, jakich znałem.

Nasz sir John wykrzyknął z radością:

– Ludzie jacyś idą z góry wioząc śnieg; kupimy od nich śniegu i sporządzimy sorbet pomarańczowy.

Podniosłem oczy i ujrzałem zbliżającego się osła, na którego grzbiecie leżał w poprzek duży pakunek; dwaj niewolnicy podtrzymywali ten pakunek z obu stron. Na przedzie mulnik prowadził osła, z tyłu zaś czcigodny Turek z białą brodą zamykał pochód siedząc na niezgorzszym koniu. Cała ta procesja posuwała się z wolna i z wielką powagą.

Nasz Turek, nie przestając dmuchać w ogień, spojrzał spod oka na ów pakunek i rzekł ze szczególnym uśmiechem: – To nie śnieg. – Po czym ze zwykłą flegmą zajął się znów kawą.

– Cóż to takiego? – spytał Tyrrel. – Czy to coś do jedzenia?

– Dla ryb – odparł Turek.

W tej chwili człowiek konny wypuścił się galopem ku morzu; mijając nas nie oszczędził nam owego wzgardliwego spojrzenia, jakim muzułmanie zazwyczaj raczą chrześcijan. Pchnął konia ku urwistym skałom, o których mówiłem, i osadził go na krzesanicy: spoglądał na morze, jakby szukał najlepszego miejsca, aby się z niego rzucić.

Przyjrzelśmy się baczniej pakunkowi na osle, uderzył nas dziwny kształt worka. Natychmiast wszystkie historie o kobietach utopionych przez zazdrosnych mężów przyszły nam na pamięć. Udzieliliśmy sobie wzajem naszych myśli.

– Spytaj tych hultajów – rzekł sir John do naszego Turka – czy to nie kobiety wiozą w ten sposób?

Turek otworzył przerażone oczy, ale nie otworzył ust. Widoczne było, że pytanie nasze wydało mu się bardzo niewłaściwe.

W tej chwili worek znalazł się tuż koło nas: ujrzelśmy wyraźnie, że się rusza, a nawet usłyszeliśmy wychodzący z niego jęk czy pomruk.

Tyrrel, mimo że gastronom, jest bardzo rycerski. Zerwał się jak wściekły, podbiegł do mulnika i spytał go po angielsku (tak go dławił gniew), co niesie i co zamierza zrobić z workiem. Mulnik nie odpowiedział nic; ale worek poruszył się gwałtownie, dały się słyszeć krzyki kobiety: na co dwaj niewolnicy zaczęli z całych sił okładać worek rzemieniami, które im służyły do poganiania osła. To przywiodło Tyrrela do ostateczności. Silnym i fachowym uderzeniem pięści rozciągnął mulnika na ziemi i chwycił jednego z niewolników za gardło: za czym worek, potrącony gwałtownie w tej walce, stoczył się ciężko na ziemię.

Nadbiegłem. Drugi niewolnik zbierał z ziemi kamienie, mulnik podnosił się. Mimo mej niechęci do mieszania się w cudze sprawy niepodobna mi było nie przyjść towarzyszowi z pomocą. Chwyciwszy tyczkę, która mi służyła do umocowania parasola, gdy rysowałem, potrząsnąłem nią grożąc niewolnikom i mulnikowi możliwie najbardziej wojowniczo. Wszystko szło dobrze, kiedy to drabisko, Turek na koniu, skończywszy przyglądać się morzu i odwróciwszy się na zgiełk, któryśmy uczynili, puścił się jak strzała i znalazł się nam na karku, nim zdążyliśmy się opatrzeć: miał w ręku rodzaj kordelasa...

– Jatagan? – wtrącił Châteaufort, który lubił „barwę lokalną”.

– Jatagan – odparł Darcy przytwierdzając uśmiechem. – Przejeżdżając koło mnie zadał mi tym jataganem cios w głowę, od którego gwiazdy stanęły mi w oczach. Odpowiedziałem aplikując mu tęgie uderzenie tyczką w krzyże, po czym jąłem wywijać nią młyńca waląc mulnika, niewolników, konia i Turka, rozwściekliwszy się dziesięć razy więcej niż mój przyjaciel, sir John Tyrrel. Sprawa byłaby z pewnością wzięła lichy obrót. Dragoman zachował neutralność, my zaś nie mogliśmy się długo bronić jednym kijem przeciw trzem piechutom, kawalerzyście i jataganowi. Szczęściem sir John przypomniał sobie parę pistoletów, które mieliśmy z sobą. Chwycił je, mnie rzucił jeden, sam wziął drugi i skierował go natychmiast przeciw jeźdźcowi, który tak się nam dał we znaki. Widok tej broni i chrzęst kurka wywarły na naszych przeciwnikach czarodziejski skutek. Pierzchli haniebnie zostawiając nas panami placu, worka, a nawet osła. Mimo całej wściekłości nie strzeliliśmy, i to było szczęście, nie zabija się bowiem bezkarnie prawego muzułmanina, a drogo kosztuje wyłoić mu skórę.

Skoro się nieco obtarłem, pierwszą naszą troską było, jak panie się domyślają, podejść do worka i otworzyć go. Znaleźliśmy tam dość ładną kobietę, nieco przytłustą, z pięknymi czarnymi włosami, mającą za cały strój jedynie niebieską koszulę, nieco mniej przezroczystą niż chusteczka pani de Chaverny. Wyskoczyła zwinnie i nie okazując zbytniego zakłopotania zwróciła do nas przemowę zapewne wielce patetyczną, ale z której nie zrozumieliśmy ani słowa; po czym ucałowała mnie w rękę. Pierwszy i jedyny to raz, moje panie, dama uczyniła mi ten zaszczyt.

Tymczasem odzyskaliśmy zimną krew. Ujrzeliśmy, że dragoman nasz wydziera sobie brodę jak człowiek w rozpacz. Co do mnie, opatrywałem sobie, jak umiałem, głowę chustką. Tyrrel powiadał:

– Co tu, u diabła, począć z tą kobietą? Jeśli zostaniemy tutaj, mąż wróci z posiłkami i zakatrupi nas; jeśli ją weźmiemy do Larnaca w tym pięknym stroju, pospółstwo ukamieniuje nas niechybnie.

Tyrrel, zakłopotany tymi refleksjami i odzyskawszy angielską flegmę, wykrzyknął:

– Cóż za diabelski koncept miałaś, aby się dziś wybierać na rysunki!

Wykrzyknik jego pobudził mnie do śmiechu, a kobieta, która nic nie rozumiała, zaczęła śmiać się również.

Trzeba było wszakże coś postanowić. Uznałem, że najlepsze, co można zrobić, to oddać się pod opiekę francuskiego konsula; ale najtrudniej było dostać do Larnaca. Zapadał zmierzch i to było całe szczęście dla nas. Nasz Turek kazał nam mocno okrażać i dzięki nocy oraz dzięki tej ostrożności przybyliśmy bez uszczerbku do domu konsula za miastem. Zapomniałem paniom powiedzieć, że z worka oraz z turbana naszego tłumacza sporządziliśmy tej kobiecie strój niemal przyzwoity.

Konsul przyjął nas bardzo źle; powiedział, że jesteśmy wariaci, że trzeba szanować zwyczaje kraju, po którym się podróżuje, że nie trzeba kłaść palca między drzwi... Słowem, połąił nas solennie i miał słuszość, zdziałaliśmy bowiem dosyć, aby spowodować rozruchy i wywołać rzeź wszystkich Francuzów na Cyprze.

Żona jego okazała się bardziej ludzka: czytała dużo romansów i postępek nasz wydał się jej wielce szlachetny. W istocie zachowaliśmy się jak bohaterowie romansu. Zaczynała ta dama była bardzo nabożna; pomyślała, że z łatwością nawróci niewierną, którąśmy jej przywiedli, że wzmianka o tym nawróceniu znajdzie się w „Monitorze” i że mąż jej zostanie konsulem generalnym. Cały ten plan powstał w jej głowie w mgnieniu oka. Uściskała Turczynkę, dała jej suknię, zawstydziła konsula za jego okrucieństwo i posłała go do paszy, aby załagodził sprawę.

Pasza był mocno zagniewany. Zazdrosny mąż był nie lada osobistością; odgrażał się, na czym świat stoi.

– To zgroza – mówił – aby psy chrześcijańskie śmiały bronić człowiekowi takiemu jak on wrzucić niewolnicę do morza.

Konsul był w kłopotcie; mówił wiele o królu, swoim panu, więcej jeszcze o fregacie z sześćdziesięciu armatami, która zjawiała się właśnie na wodach Larnaca. Ale argumentem, który wywarł największe wrażenie, była uczyniona w naszym imieniu propozycja zapłacenia niewolnicy wedle sprawiedliwej ceny.

Niestety! Gdyby pani wiedziała, co to jest sprawiedliwa cena u Turka. Trzeba było opłacić męża, opłacić paszę, opłacić mulnika, któremu Tyrrel wybił dwa zęby, opłacić zgorszenie, opłacić wszystko. Ile razy Tyrrel wykrzykiwał boleśnie:

– Po kiego licha łazić rysować nad morze!

– Cóż za przygoda, biedny Darcy! – wykrzyknęła pani Lambert.

– Więc to tam zdobyłeś tę okropną szramę? Proszę, podnieśże trochę włosy. Ależ to cud, że on panu głowy nie rozwalił!

Przez cały czas Julia nie odwróciła oczu od czoła opowiadającego; w końcu spytała nieśmiało:

– Cóż się stało z tą kobietą?

– To jest właśnie owa część, której nie bardzo lubię opowiadać. Dalszy ciąg jest dla mnie tak smutny, że po dziś dzień jeszcze drwię sobie z naszej rycerskiej wyprawy.

– Czy ładna była ta Turczynka? – spytała pani de Chaverny rumieniąc się nieco.

– Jak się nazywała? – spytała pani Lambert.

– Nazywała się Emineh.

– Ładna?

– Owszem, dość ładna, ale za tłusta i cała umalowana wedle krajowego obyczaju. Trzeba się z tym oswoić, aby ocenić powaby tureckiej piękności. Emineh została tedy w domu konsula. Była Mingrelijką i powiedziała pani C..., żonie konsula, że jest córką księcia. W tym kraju każdy hultaj, który dowodzi dziesięcioma innymi hultajami, jest księciem. Obchodzono się z nią tedy jak z księżniczką: siadała do stołu ze wszystkimi, jadła za czterech, po czym, kiedy jej mówiono o religii, regularnie zasypiała. To trwało jakiś czas. Wreszcie naznaczono dzień chrztu. Pani C... podjęła się być matką chrzestną i chciała, abym ja był chrzestnym ojcem. Cukierki, prezenty etc.! Było napisane, że ta nieszczęsna Emineh zrujnuje mnie. Pani C... twierdziła, że Emineh woli mnie niż Tyrrela, ponieważ podając kawę rozlewała mi zawsze parę kropel na ubranie. Gotowałem się tedy do chrztu ze skupieniem iście ewangelicznym, kiedy w przeddzień uroczystości piękna Emineh znikła. Czy mam powiedzieć wszystko? Konsul miał kucharza Mingrelijczyka, wielkiego ladaco, to pewna, ale mistrza w przyrządzaniu pilafu. Ten Mingrelijczyk wpadł w oko Emineh, która niewątpliwie była na swój sposób patriotką. Wykradł ją unosząc zarazem sporą sumę panu C..., który nigdy nie zdołał go odszukać. Tak więc konsula kosztowało to nieco grosza, żonę jego wyprawkę, jaką dała Emineh, mnie rękawiczki, cukierki, nie licząc guzów, którym oberwał. Najgorsze, że mnie czyniono poniekąd odpowiedzialnym za tę przygodę. Utrzymywano, że to ja uwolniłem tę niegodziwą kobietę, którą rad byłbym widzieć na dnie morza, i że to ja ściągnąłem tyle nieszczęść na swoich przyjaciół. Tyrrel umiał się wyplątać ze sprawy; uchodził za ofiarę, gdy on sam był przyczyną całej hecy, ja zaś zostałem z opinią don Kichota oraz z tą szramą, którą panie widzicie i która wiele mi szkodzi w moich sukcesach.

Po tej historii wrócono do salonu. Darcy rozmawiał jeszcze jakiś czas z panią de Chaverny, po czym musiał ją opuścić, aby użyć dłuższej rozmowy pewnemu jegomości. Był to młody człowiek nader biegły w ekonomii politycznej, kształcący się na posła, który pragnął uzyskać dane statystyczne co do państwa ottomańskiego.

## X

Od chwili, gdy Darcy ją opuścił, Julia spoglądała często na zegarek. Słuchała pana Châteaufort z roztargnieniem, oczy jej szukały mimo woli Darcy'ego, który rozmawiał w drugim końcu salonu. Niekiedy spoglądał na nią rozmawiając z owym amatorem statystyki, ona zaś nie mogła znieść jego spojrzenia przenikliwego, choć spokojnego. Czuła, że posiadał nad nią władzę, spod której nie siliła się wyzwolić.

Wreszcie poprosiła o powóz i z umysłu czy mimo woli poprosiła o to patrząc na pana Darcy wzrokiem, który mówił: „Straciłeś pół godziny, które mogliśmy byli spędzić razem”. Oznajmiono, że powóz zajechał. Darcy rozmawiał ciągle, ale zdawał się zmęczony i znudzony natrętem, który go nie popuszczał. Julia wstała wolno, uściśnęła rękę pani Lambert, następnie skierowała się ku drzwiom, zdziwiona i niemal dotknięta tym, że Darcy się nie rusza. Châteaufort był w pobliżu; ofiarował jej ramię, które przyjęła machinalnie, nie słuchając go i prawie nie zauważywszy jego obecności.

Przebyła sieni w towarzystwie pani Lambert i kilku jeszcze osób, które odprowadziły ją do powozu. Darcy został w salonie. Kiedy już siedziała w karecie, Châteaufort spytał z uśmiechem, czy nie będzie się bała sama wracać nocą, dodając, że będzie jechał tuż za nią swoim tilbury, skoro tylko major Perrin skończy partyjkę bilardu. Julia tonęła w zadumie; głos jego zbudził ją do przytomności, ale nie rozumiała ani słowa. Zrobiła to, co byłaby zrobiła każda inna na jej miejscu: uśmiechnęła się. Następnie skinęła głową zebrany i konie uniosły ją szybko.

Ale właśnie w chwili, gdy powóz ruszał, ujrzała pana Darcy wychodzącego z salonu. Był blady, smutny i wlepił oczy w nią, jak gdyby prosił o osobne pożegnanie. Odjechała unosząc żal, że nie mogła skinąć głową jemu samemu; pomyślała nawet, że będzie tym dotknięty. Już zapomniała, że pozostawił innemu troskę o przeprowadzenie jej do powozu; obecnie winy były po jej stronie i wyrzucała je sobie jak zbrodnie. Uczucia, jakie miała dla pana Darcy kilka lat wprzód, tuż po owym wieczorze, na którym śpiewała fałszywie, były o wiele mniej żywe niż te, które unosiła tym razem. Nie tylko lata dodały siły jej wrażeniom, ale jeszcze urastały one o całą urazę do męża. Może nawet pewna skłonność, jaką czuła wprzód do Châteauforta, o którym zresztą w tej chwili zapomniała zupełnie, przygotowała ją do poddania się, bez zbytnych wyrzutów, o wiele żywszemu uczuciu, jakiego doznawała dla Darcy'ego.

Co do niego, myśli jego były o wiele spokojniejszej natury. Z przyjemnością spotkał ładną kobietę, która mu przywodziła szczęśliwe wspomnienia i której towarzystwo mogło mu umilić zimę w Paryżu. Ale skoro raz znikła, zostało mu co najwyżej wspomnienie kilku wesołych godzin, wspomnienie, którego słodycz zatruwała nieco perspektywa późnego położenia się spać oraz cztery mile drogi dzielące go od łóżka. Pozwólmy mu, wraz z tymi prozaicznymi myślami, zawinąć się starannie w płaszcz, ułożyć się wygodnie w ukos w najętym powozie i błędzić myślami od salonu pani Lambert do Konstantynopola, z Konstantynopola na Korfu i z Korfu do półsnu.

My, drogi czytelniku, będziemy towarzyszyli, jeżeli pozwolisz, pani de Chaverny.

## XI

Kiedy pani de Chaverny opuściła pałac pani Lambert, noc była straszliwie ciemna, powietrze ciężkie i duszne: od czasu do czasu błyskawice oświecając krajobraz rysowały czarne sylwetki drzew na tle pomarańczowosinym. Ciemność zdwajała się niejako po każdej błyskawicy, woźnica nie widział łbów końskich. Niebawem zerwała się burza. Deszcz, który padał zrazi: dużymi kroplami, zmienił się w istny potop. Ze wszystkich stron niebo stanęło w ogniu, artyleria niebieska stała się ogłuszająca. Konie przerażone sapały mocno i wspinały się, zamiast posuwać się naprzód; ale woźnica był po dobrym obiedzie: gruby płaszcz, a zwłaszcza wypite wino tępiły w nim obawę przed deszczem i złą drogą. Smażał energicznie biedne bydłatka, nieustraszony jak Cezar w czasie burzy, kiedy mówił do sternika: „Wieziesz Cezara i jego losy!”

Pani de Chaverny nie obawiała się grzmotów, nie zajmowała się tedy burzą. Powtarzała sobie wszystko to, co Darcy jej mówił, i żałowała, że mu nie powiedziała stu rzeczy, które mogła była powiedzieć, kiedy nagle dumania jej przerwał gwałtowny wstrząs: szyby poleciały w kawałki, rozległ się złowrogi trzask, karetka stoczyła się do rowu. Julii nie stało się nic poza strachem. Ale deszcz nie ustawał; koło było złamane; latarnie zgasły, nie było zaś widać ani jednego domu, gdzie by można znaleźć schronienie. Woźnica klął, lokaj złorzeczył woźnicy i przeklinał jego niezręczność. Julia została w karecie pytając, jak można by wrócić do P... lub co trzeba czynić; ale na każde pytanie otrzymywała tę rozpaczliwą odpowiedź:

– To niemożliwe!

Tymczasem rozległ się z daleka głuchy turkot powozu. Niebawem woźnica pani de Chaverny poznał ku swemu zadowoleniu jednego z kolegów, z którym nawiązał serdeczne stosunki w kredensie pani Lambert; krzyknął nań, aby się zatrzymał.

Pojazd stanął; ledwo padło nazwisko pani de Chaverny młody człowiek znajdujący się w powozie otworzył sam drzwiczki i wołając: – Czy ranna? – rzucił się ku karecie Julii. Poznała Darcy’ego, oczekiwała go.

Ręce ich spotkały się w ciemności, Darcy miał wrażenie, że pani de Chaverny ścisnęła mu dłoń; ale był to prawdopodobnie skutek przestrawienia. Po pierwszych pytaniach Darcy ofiarował oczywiście swój powóz. Julia nie odpowiedziała zrazu; była mocno niezdecydowana, co jej należy postanowić. Z jednej strony myślała o kilku milach sam na sam z młodym człowiekiem, w razie gdyby chciała jechać do Paryża; z drugiej strony, gdyby wróciła do zamku i poprosiła o gościnę panią Lambert, drżała na myśl, że trzeba będzie opowiedzieć romantyczny wypadek i pomoc, jakiej użyczył jej pan Darcy. Wrócić do salonu, gdzie wszyscy spokojnie grają w wista, ocalona przez Darcy’ego jak owa Turczynka... za nic! Ale znowuż trzy długie mile do Paryża... Gdy tak bujała w niepewności i bąkała niezręcznie jakieś banalności o kłopotcie, który sprawi, Darcy, który zdawał się czytać w jej sercu, rzekł zimno:

– Niech pani weźmie mój powóz, ja zaczekam w pani karecie, aż będzie ktoś przejeżdżał.

Julia lękając się okazać przesadną skromnością przyjęła czym prędzej pierwotną propozycję. Że zaś postanowienie jej zapadło nagle, nie miała czasu rozwiązać ważnej kwestii, mianowicie czy udadzą się do P... czy do Paryża. Już siedziała w powozie pana Darcy, zawinięta w jego płaszcz, który on uprzejmie jej podał, i konie kłusowały w stronę Paryża, zanim jej przyszło na myśl oświadczyć, dokąd chce jechać. Służący rozstrzygnął za nią, podając stangretowi nazwisko i dom swej pani.

Rozmowa była zrazu kłopotliwa. Ton pana Darcy był zwięzły i zdradzał jakby niezadowolenie. Julia wyobrażała sobie, że uraziło go jej niezdecydowanie i że ją wziął za pocieszoną cnotkę. Już była tak pod wpływem, tego człowieka, że czyniła sobie w duchu wymówki i myślała tylko o tym, jak rozproszyć ów cień złego humoru, o który winiła siebie. Ubranie Darcy’ego było mokre; spostrzegła to i zdejmując z siebie płaszcz nalegała, aby się nim otulił.

Wywiązał się pojedynek szlachetnych, z którego wynikło, iż dla rozcięcia sporu każdemu przypadnie połowa płaszcz. Straszliwa nierozwaga, której nie byłaby popełniła bez tej chwili wahania, którą chciała zatrzeć w jego pamięci.

Byli tak blisko siebie, iż Julia czuła na policzku oddech pana Darcy. Niestety, kołysania powozu zbliżały ich nawet jeszcze bardziej.

– Ten płaszcz, który nas otula – rzekł Darcy – przypomina mi nasze dawne szarady. Czy pamięta pani, że pani była moją Wirginią, gdyśmy się zawijali oboje w płaszcz babki?

– Tak. I pamiętam burę, która mi się dostała przy tej sposobności.

– Ach! – wykrzyknął Darcy – szczęśliwe czasy! Ileż razy myślałem z melancholią i rozkoszą o naszych boskich wieczorkach! Przypomina pani sobie te piękne skrzydła sępie, które pani przywiązano do ramion różową, wstążeczką, i dziobek ze złotego papieru, który pani sporządziłem tak artystycznie?

– Tak – odparła Julia – pan był Prometeuszem, a ja sępem. Ale co pan ma za pamięć. W jaki sposób mógł pan spamiętać te szaleństwa? To przecież już tak dawno!

– Czy pani żąda ode mnie komplementu? – rzekł Darcy z uśmiechem, pochylając się, aby jej zajrzeć w oczy.

Następnie poważniej:

– Doprawdy – ciągnął – nie ma w tym nic dziwnego, że zachowałem wspomnienie najszczęśliwszych chwil życia.

– Co pan miał za talent do szarad...! – rzekła Julia obawiając się, aby rozmowa nie weszła w zbyt uczuciowe tory.

– Chce pani, abym jej dał inny dowód pamięci? – przerwał Darcy. – Czy przypomina sobie pani przymierze zawarte u pani Lambert? Przynajmniej sobie mówić źle o całym świecie: w zamian zaś wspierać się wzajem wobec wszystkich i przeciw wszystkim... Ale nasz traktat podzielił los większości traktatów: nie wszedł w życie.

– Skąd pan wie?

– Niestety! Wyobrażam sobie, że nieczęsto miała pani sposobność bronić mnie; skoro raz znalazłem się z daleka od Paryża, komuż przyszło do głowy mną się zajmować?

– Bronić pana... nie... ale mówić o panu z pańskimi przyjaciółmi...

– Och! Moimi przyjaciółmi! – wykrzyknął Darcy ze smutnym uśmiechem – nie miałem ich prawie w owej epoce, przynajmniej takich, których by pani znała. Młodzi ludzie, którzy bywali u matki pani, nie cierpieli mnie, nie wiem czemu; co się zaś tyczy kobiet, niewiele się troszczyły o imię pana attaché spraw zagranicznych.

– Bo też pan się nimi nie zajmował.

– To prawda. Nigdy nie umiałem starać się o względy tych, których nie kochałem.

Gdyby ciemność pozwalała widzieć twarz Julii, Darcy byłby spostrzegł, iż żywy rumieniec powlókł ją po tym ostatnim zdaniu, które wzięła w znaczeniu, o jakim Darcy może nie myślał.

Bądź co bądź, porzucając wspomnienia zbyt wiernie przechowane przez obie strony, Julia chciała naprowadzić Darcy'ego na jego podróż w nadziei, że w ten sposób nie będzie sama potrzebowała mówić. System ten udaje się prawie zawsze z podróżnikami, zwłaszcza tymi, którzy zwiedzali dalekie kraje.

– Jaką pan ładną podróż odbył – rzekła – i jak ja żałuję, że nigdy nie doczekam się podobnej!

Ale Darcy nie był już w humorze do opowiadania.

– Kto to jest ten młody pan z wąsikami – spytał nagle – który z panią rozmawiał?

Tym razem Julia zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– To przyjaciel mego męża – odparła – oficer z jego pułku... Powiadają – ciągnęła nie chcąc porzucać wschodniego tematu, że osoby, które widziały ten uroczy błękit wschodu, nie mogą już wyżyć gdzie indziej.

– Straszliwie mi się nie podobał, nie wiem czemu... Mówię o przyjacielu pani męża, nie o błękitcie... Co do tego błękitu, pani, niech panią Bóg broni od niego. W końcu, widząc go ciągle jednakim, nabiera się do niego takiej nienawiści, że najbrudniejsza mgła paryska wydała-by się cudnym widokiem. Nic tak nie drażni nerwów, niech mi pani wierzy, jak to piękne błękitne niebo, które było błękitne wczoraj i będzie błękitne jutro. Gdyby pani wiedziała, z jaką niecierpliwością, z jakim wciąż nowym zawodem człowiek czeka, spodziewa się chmurki!

– A mimo to został pan bardzo długo pod owym błękitnym niebem!

– Ach, pani! Dość trudno mi było uczynić inaczej. Gdybym mógł iść jedynie za swoją skłonnością, byłbym wrócił bardzo szybko w okolice ulicy Bellechasse, zaspokoivszy lekkie drgania ciekawości, jaką nieodzownie muszą budzić osobliwości Wschodu...

– Sądzę, że wielu podróżników powiedziałoby to samo, gdyby byli również szczerzy... Jak spędza się czas w Konstantynopolu i innych miastach Wschodu?

– Ba, jak wszędzie, są tam różne sposoby zabicia czasu. Anglicy piją, Francuzi grają w karty, Niemcy palą; lotniejsi zaś duchem, pragnąc urozmaicić swoje przyjemności, narażają się na strzał z fuzji drapiąc się po dachach dla podglądania miejscowych kobiet.

– Prawdopodobnie temu zajęciu dawał pan pierwszeństwo?

– Wcale nie. Studiowałem język turecki i grecki, co mnie okrywało śmiesznością. Kiedym skończył urzędowe depesze, rysowałem, jeździłem konno, a wreszcie szedłem na wybrzeże patrzeć, czy nie przybywa jaka ludzka twarz z Francji lub skądinąd.

– To musiała być wielka przyjemność dla panów ujrzeć Francuza tak daleko od Francji?

– Owszem, ale na jednego inteligentnego człowieka iluż nam zjeżdżało handlarzy żelaziwa lub kaszmirów; lub, co o wiele gorzej, młodych poetów, którzy – skoro tylko ujrzeli kogoś z ambasady – wołali: „Zaprowadź mnie pan na ruiny; zaprowadź mnie pan do świętej Zofii; zaprowadź mnie pan na góry, do błękitnego morza; chcę widzieć miejsca, gdzie wzdychała Hero!” Potem, kiedy złapią tęgi udar słoneczny, zamykają się w pokoju i nic już nie chcą widzieć prócz świeżych numerów „Constitutionnela”.

– Pan widzi wszystko z ujemnej strony, wedle swego dawnego zwyczaju. Nie widzę żadnej poprawy, wie pan? Zawsze jest pan tak samo ironiczny.

– Niech mi pani powie, czy skazańcowi smażącemu się na ogniu nie wolno się zabawiać kosztem swoich towarzyszków patelni? Daję słowo, pani nie wie, jak nędzne jest życie, które my tam pędzimy. My, sekretarze ambasad, podobni jesteśmy do jaskółek, które nie przysiadają nigdy. Nie istnieją dla nas te serdeczne stosunki, które stanowią szczęście życia... jak sądzę. (Wymówił ostatnie słowa ze szczególnym akcentem i przysuwając się do Julii). Od sześciu lat nie spotykałem nikogo, z kim mógłbym wymienić myśli.

– Nie miał więc pan tam przyjaciół?

– Właśnie pani mówiłem, że niepodobna ich mieć na obczyźnie. Zostawiłem dwóch we Francji. Jeden umarł; drugi jest obecnie w Ameryce, skąd wróci aż za kilka lat, o ile go żółta febra nie zatrzyma.

– Zatem jest pan sam?

– Sam.

– A jak jest na Wschodzie z towarzystwem kobiet? Czy w nim nie można znaleźć jakiej ucieczki?

– Och! To jest najgorsze ze wszystkiego. Co się tyczy kobiet tureckich, nie ma co i myśleć. Co do Greczynek i Ormianek, najlepsze, co można rzec na ich pochwałę, to to, że są bardzo ładne, o żonach konsulów i ambasadorów niech pani pozwoli nie mówić. To kwestia dyplomatyczna; gdybym powiedział, co o nich myślę, naraziłbym się w ministerium.

– Nie zdaje się, aby pan bardzo kochał swój zawód. Tak gorąco pragnął pan niegdyś wejść do dyplomacji!



– Nie znałem, jeszcze rzemiosła. Obecnie chciałbym być zamiataczem rynsztoków w Paryżu.

– Och! Boże! Jak pan to może mówić? Paryż! Najniezdrowsze miejsce pod słońcem.

– Niech pani nie bluźni. Chciałbym słyszeć, jak pani to odwołuje w Neapolu, po dwóch latach pobytu we Włoszech.

– Widzieć Neapol, oto czego pragnęłabym najbardziej w świecie... byleby przyjaciele moi byli ze mną.

– Och! Pod tym warunkiem objechałbym świat dookoła. Podróżować z przyjaciółmi! Ależ to tak, jakby się siedziało u siebie w salonie, podczas gdy świat przejeżdża nam pod oknami niby rozwijająca się panorama.

– A więc jeżeli to za wiele wymagań, chciałabym podróżować z jednym... z dwoma przyjaciółmi.

– Co do mnie, nie jestem tak ambitny; chciałbym tylko jednego albo jedną – dodał z uśmiechem. – Ale to jest szczęście, które mi się nigdy nie zdarzyło... i nie zdarzy – dodał z westchnieniem. Następnie weselszym tonem: – Doprawdy, nigdy nie miałem szczęścia w grze życia. Zawsze pragnąłem dwóch rzeczy i nie mogłem ich uzyskać.

– Cóż to było?

– Och! Nic nadzwyczajnego. Na przykład pragnąłem namiętnie tańczyć walca z jedną osobą... Podjąłem głębokie studia nad walcem. Ćwiczyłem miesiące całe sam, z krzesłem, aby pokonać odurzenie, które zawsze mnie chwytało; i kiedy osiągnąłem, że nie miałem już zawrotów głowy...

– I z kim tak pragnął pan tańczyć walca?

– A gdybym powiedział, że z panią?... I kiedy stałem się dzięki wysiłkom wybornym tancerzem, babka pani, która właśnie wzięła sobie spowiednika jansenistę, zabroniła walca rozkazem dziennym, który jeszcze mam na sercu.

– A drugie pana pragnienie?... – spytała Julia bardzo zmieszana.

– Moje drugie pragnienie... daruje je pani! Byłbym pragnął, ale to było zbyt ambitne z mej strony, byłbym pragnął być kochanym... ale to kochanym... to przed walcem pragnąłem tego, nie trzymam się chronologicznego porządku... Być kochanym, powiadam, przez kobietę, która przełożyłaby mnie nad bal – najniebezpieczniejszego z rywali; przez kobietę, do której mógłbym przyjść w zabłoconych butach w chwili, gdy ma wsiąść do powozu, aby jechać na bal. Byłaby w balowej sukni i powiedziała mi: *Z o s t a n y*. Ale to było szaleństwo. Powinno się pragnąć jedynie rzeczy możliwych.

– Jaki pan złośliwy! Zawsze te ironiczne uwagi. Nic nie ostoi się przed panem. Jaki pan nielitościwy dla kobiet.

– Ja! Niech mnie Bóg broni! To raczej siebie obmawiam. Czy to znaczy źle mówić o kobietach, twierdzić, że wolą miły wieczór... od sam na sam. ze mną?

– Bal!... Toaleta!... Och! Mój Boże!... Kto dziś lubi bale?...

Nie myślała właściwie bronić całej swojej płci postawionej w stan oskarżenia; zdawało się, że rozumie myśl pana Darcy, podczas gdy biedna kobieta rozumiała tylko własne serce.

– Gdy mowa o toaletach i balach, cóż za szkoda, że nie jesteśmy już w karnawale! Przywiozłem kostium Greczynki, prześliczny, w którym byłoby pani cudownie do twarzy.

– Wyrysuje mi go pan w albumie.

– Bardzo chętnie. Zobacz pani, jakie postępy zrobiłem od czasu, jak rysowałem człowieczków na herbacianym stole u mamy pani. A, prawda, pani, muszę pani powinszować: powiedziano mi w ministerium dziś rano, że pan de Chaverny ma być zamianowany podkomorzym. Bardzo mnie to ucieszyło.

Julia zadrżała mimo woli.

Darcy ciągnął nie zauważwszy tego ruchu.

– Niech mi pani pozwoli polecić się swojej protekcji od tej chwili... Ale w gruncie nie jestem zbyt rad z tej pani nowej godności. Lękam się, że pani będzie musiała mieszkać latem w Saint – Cloud i że wówczas rzadziej będę miał zaszczyt widywać panią.

– Nigdy nie pojedę do Saint–Cloud – rzekła Julia wzruszonym głosem.

– Och! Tym lepiej, bo Paryż, widzi pani, to raj, którego nie trzeba nigdy opuszczać, chyba po to, aby od czasu do czasu pojechać na obiad na wieś do pani Lambert, pod warunkiem, że się wróci wieczorem. Jaka pani jest szczęśliwa, że pani mieszka w Paryżu. Ja, który może tu jestem tylko na krótko, nie ma pani pojęcia, jak się czuję szczęśliwy w mieszkaniu, które mi ciotka oddała. A pani mieszka, jak mi mówiono, w dzielnicy St. Honoré. Pokazano mi pani dom. Musi pani mieć rozkoszny ogród, o ile mania budowania nie zamieniła jeszcze alei w sklepy.

– Nie, mój ogród jest jeszcze nietknięty, Bogu dzięki.

– Którego dnia pani przyjmuje?

– Jestem w domu prawie co wieczór. Byłabym bardzo szczęśliwa, gdyby pan zechciał odwiedzić mnie czasem.

– Widzi pani, że ja robię tak, jak gdyby nasze dawne p r z y m i e r z e istniało jeszcze. Zapraszam się sam bez ceremonii i bez oficjalnego przedstawienia. Przebaczy mi pani, nieprawdaż?... Znam już w Paryżu tylko panią i panią Lambert. Cały świat zapomniał o mnie, ale te wasze dwa domy to jedyne, których żałowałem na swoim wygnaniu. Pani salon zwłaszcza musi być uroczy. Tak dobrze pani wybiera swoich przyjaciół... Przypomina pani sobie projekty, jakie pani robiła niegdyś na czas, kiedy pani będzie miała swój dom? Salon niedostępny dla nudziarzy; czasem muzyka, zawsze rozmowa, i to do późna; żadnych ludzi z pretensjami, niewielka liczba osób znających się doskonale i tym samym nie silących się kłamać ani olśniewać... Do tego dwie lub trzy inteligentne kobiety (a niepodobna, aby pani przyjaciółki były inne...) i oto ma pani najmiłszy dom w Paryżu. Tak, pani jest najszczęśliwszą z kobiet i daje pani szczęście wszystkim, którzy są blisko pani.

Gdy Darcy mówił, Julia myślała, że to szczęście, które malował tak żywo, mogła mieć, gdyby była wyszła za innego człowieka... za pana Darcy na przykład. W miejsce tego urojonego salonu, tak wytwornego i miłego, myślała o nudziarzach, których Chaverny jej sprowadzał... w miejsce tych tak wesołych rozmów, przypominała sobie sceny małżeńskie jak ta, która ją przywiodła do pani Lambert. Widziała się nieszczęśliwą, związaną na całe życie z losem człowieka, dla którego czuła nienawiść i wzdargę; ten zaś, który wydawał się jej najmiłszym na świecie, któremu by chciała powierzyć troskę o swe szczęście, miał pozostać dla niej na zawsze obcym. Obowiązkiem jej było unikać go, rozstać się z nim, a był tak blisko niej, że rękawy jej sukni ocierały się o kłapy jego fraka!

Darcy malował tak przez jakiś czas przyjemności paryskiego życia z całą wymową, jaką mu dawało długie wygnanie. Julia czuła, że łzy spływają jej po policzkach. Drżała, aby Darcy ich nie spostrzegł, a przymus, jaki sobie nakładała, potęgował jej wzruszenie. Dusila się; nie śmiała uczynić ruchu. Wreszcie wydarł się jej szloch; wszystko przepadło! Utopiła głowę w dłoniach, wpółzdławiona łzami i wstydem.

Darcy, który najmniej był na to przygotowany, zdumiał się. Przez chwilę zdziwienie oniemiło go, ale kiedy szlochanie się wzmagало, czuł się w obowiązku przemówić i spytał o przyczynę, tak nagłych łez.

– Co pani jest? Na miłość boską, pani... niech mi pani odpowie. Co się pani dzieje?...

Gdy zaś biedna Julia na wszystkie te pytania przyciskała silnie chustkę do oczu, wziął ją za rękę i usuwając łagodnie chustkę rzekł zmienionym głosem, który przeniknął Julię aż do głębi:

– Zaklinam panią, co pani jest? Czyżbym panią obraził mimo woli?... Doprowadza mnie pani do rozpaczycy swoim milczeniem.

– Och! – wykrzyknęła Julia nie mogąc się powstrzymać – jestem bardzo nieszczęśliwa! – I szlochała silniej.

– Nieszczęśliwa! Jak to?... Czemu?... W jaki sposób pani może być nieszczęśliwa? Niech mi pani powie.

Tak mówiąc ścisnął jej rękę, a głowa jego niemal dotykała głowy Julii, która płakała, zamiast odpowiadać; Darcy nie wiedział, co myśleć, ale był wzruszony tymi łzami. Czuł się odmłodzony o sześć lat i zaczynało mu majaczyć w przyszłości nieuchwytną jeszcze dla jego wyobraźni, że z roli powiernika mógłby przejść do innej, wyższej.

Gdy Julia uparcie wzbierała się odpowiadać, Darcy, lękając się, aby się jej nie zrobiło słabo, spuścił szybę, rozwiązał wstążki przy kapeluszu Julii, rozchylił jej narzutkę i szal. Mężczyźni niezręczni są w takich rzeczach. Chciał zatrzymać powóz pod jakąś wioską i już wołał na woźnicę, kiedy Julia chwytając go za ramię zaklęła go, aby tego nie czynił, i upewniła, że ma się o wiele lepiej. Woźnica nie słyszał nic i dalej poganiał konie do Paryża.

– Ależ błagam panią, droga pani Chaverny – rzekł Darcy ujmując z powrotem rękę, którą na chwilę puścił – zaklinam panią, co pani jest? Lękam się... Nie mogę pojąć, jak mogłem być na tyle nieszczęśliwy, aby pani zrobić przykrość.

– Och! To nie pan – wykrzyknęła Julia i uścisnęła mu z lekka rękę.

– Więc niechże mi pani powie, czemu pani tak płacze? Niech pani mówi z całą ufnością. Czy nie jesteśmy dawnymi przyjaciółmi – dodał z uśmiechem, ściskając wzajem rękę Julii.

– Mówił pan o szczęściu, które jakoby mnie otacza... a to szczęście jest tak daleko ode mnie!

– Jak to! Czyż pani nie posiada wszystkich warunków do szczęścia?... Młoda, bogata, ładna... Mąż pani zajmuje wybitne stanowisko...

– Nienawidzę go! – wykrzyknęła Julia prawie nieprzytomna. – Gardzę nim! – I ukryła głowę w chustce, szlochając mocniej niż wprzód.

– Och! Och! – pomyślał Darcy. – To zaczyna być poważne.

I korzystając zręcznie z wstrząśnięć powozu, aby się przybliżyć do nieszczęśliwej Julii, mówił najśłodszym i najtkliwszym głosem:

– Czemu, czemu się tak martwić? Czy istota, którą pani gardzi, może mieć takie znaczenie dla pani życia? Czemu pani pozwala, aby jeden człowiek zatruwał pani szczęście? Czyż u niego trzeba pani szukać tego szczęścia?...

Ucałował końce jej palców; widząc, iż Julia cofa rękę ze zgrozą, zląkł się, że się posunął za daleko. Ale chcąc się przekonać, czym się to skończy, rzekł wzdychając w sposób obłudny:

– Jakże ja się omyliłem! Kiedy dowiedziałem się o pani małżeństwie, myślałem, że pan de Chaverny naprawdę się pani podobał.

– Och, panie Darcy, pan mnie nigdy nie znał!

Akcent tych słów mówił jasno: „Zawsze pana kochałam, a pan nie chciał tego spostrzec”. Biedna kobieta sądziła w tej chwili, z najlepszą wiarą w świecie, że ona zawsze kochała pana Darcy przez tych sześć lat, które upłynęły, z tym samym ogniem, jaki czuła dlań w tej chwili.

– A pani! – wykrzyknął Darcy ożywiając się – pani czy znała mnie kiedy? Czy wiedziała pani kiedy, jakie były moje uczucia? Ach, gdyby mnie pani była lepiej znała, byłibyśmy bez wątplenia teraz szczęśliwi.

– Jakaż ja jestem nieszczęśliwa! – powtarzała Julia wśród nowego potoku łez, ściskając m rękę z siłą.

– Ale gdyby nawet pani mnie była zrozumiała – ciągnął Darcy z ową melancholijną ironią która mu była właściwa – cóż by stąd wynikło? Byłem biedny, pani miała posag; matka pani byłaby mnie odepchnęła ze wzgardą. Byłem skazany z góry. Ty sama, tak, ty sama, Julio, nim oplakane doświadczenie pokazało ci, gdzie jest prawdziwe szczęście, byłabyś bez wątplenia

wyśmiała moje zuchwalstwo: błyszczący powóz z hrabiowską koroną był z pewnością wówczas najpewniejszym sposobem spodobania się pani.

– O nieba! I pan także! Nikt nie będzie miał dla mnie litości?

– Przebac mi, droga Julio! – wykrzyknął bardzo wzruszony – przebac mi, błagam. Zapomnij tych wymówek; nie, ja nie mam prawa ich czynić. Jestem winniejszy od ciebie... Nie umiałem cię ocenić. Uważałem cię za istotę słabą, jak bywają kobiety w twoim świecie; wątpiłem o twojej odwadze, droga Julio, i jestem okrutnie ukarany!...

Całował z ogniem jej ręce, których już nie cofała; chciał ją przycisnąć do piersi... ale Julia odepchnęła go ze zgrozą i odsunęła się tyle, ile pozwoliła szerokość powozu.

Na co Darcy głosem, któremu sama słodycz dawała akcent tym bardziej przejmujący:

– Wybacz pani, zapomniałem, że jestem w Paryżu. Przypominam sobie teraz, że tu się ludzie żenią, ale nie kochają.

– Och! Tak, kocham cię – szepnęła łkając i osunęła głowę na ramię Darcy’ego.

Darcy pochwycił ją w uniesieniu w objęcia, starając się zatamować jej łzy pocałunkami. Próbowwała jeszcze uwolnić się z jego uścisku, ale to był ostatni wysiłek, na jaki się zdobyła.

## XII

Darcy omylił się co do natury swego wzruszenia; trzebaż to stwierdzić, on nie był zakochany. Skorzystał z gratki, która mu spadła i która warta była, aby jej nie przepuścić. Zresztą, jak wszyscy mężczyźni, o wiele był wymowniejszy w prośbie niż w podziękach. Był grzeczny, a grzeczność zastępuje często szacowniejsze uczucie. Skoro minęło pierwsze upojenie, obsypywał tedy Julię tkliwymi frazesami, które składały mu się bez zbyteńgo trudu, a którym towarzyszyły pocałunki w rękę oszczędzające mu tyleż słów. Ujrzał bez żalu, że powóz jest już przy rogatce i że za kilka minut przyjdzie mu się rozstać ze swoją zdobyczą. Milczenie pani de Chaverny wśród jego zaklęć, przygnębienie, w jakim utonęła, czyniły trudnym, nudnym nawet, jeżeli wolno tak powiedzieć, położenie świeżo upieczonego kochanka.

Siedziała nieruchoma w kącie karety, przyciskając machinalnie szal do piersi. Nie mówiła, ledwie że dyszała; ale tłum rozdzierających myśli kłębił się w jej mózgu i gdy chciała wyrazić jedną, druga zamykała jej usta.

Jak oddać chaos tych myśli lub raczej obrazów, które następowały po sobie z taką szybkością jak bicie jej serca? Miała uczucie, że brzęczą jej w uszach słowa bez związku i bez porządku, ale wszystkie straszliwie wymowne. Rano ona oskarżała męża, był nikczemnikiem w jej oczach; obecnie ona była sto razy godniejsza wzgardy. Miała uczucie, że hańba jej jest publiczna. Kochanka księcia de H... odepchnęłaby ją teraz. Pani Lambert, wszyscy przyjaciele zerwaliby z nią. A Darcy? Czy ją kocha? Ledwie ją zna. Zapomniał o niej. Nie od razu ją poznał. – Może mu się wydała bardzo zmieniona. Jest chłodny dla niej: to, był ostatni cios. Szaleństwo popełnione z człowiekiem, który ledwie ją znał, który nie okazał jej miłości... jedynie uprzejmość. Niepodobna, aby ją kochał. A ona, czy go kochała? Nie, skoro wyszła za mąż tuż po jego wyjeździe.

Kiedy powóz wjechał do Paryża, zegary biły pierwszą. O czwartej ujrzała pana Darcy pierwszy raz. Tak, ujrzała, nie mogła powiedzieć u j r z a ł a z n o w u... Zapomniała jego rysów, głosu; był to dla niej obcy człowiek... W dziesięć godzin później została jego kochanką... Dziesięć godzin wystarczyło na to szczególne urzeczenie... wystarczyło, aby się zhańbiła we własnych oczach, w oczach samego pana Darcy; bo cóż mógł myśleć o kobiecie tak słabej. Jak nie gardzić nią?

Chwilami głos pana Darcy, tkliwe słowa, jakie do niej mówił, ożywiały ją nieco. Wówczas siliła się wierzyć, że on kocha ją w istocie tak, jak mówi. Nie oddała się tak łatwo. Miłość ich trwała od dawna, kiedy Darcy ją rzucił. Darcy musiał wiedzieć, że wyszła za mąż jedynie pod wpływem żalu, w jakim pograżył ją jego wyjazd. Wina była po stronie pana Darcy. Mimo to kochał ją wciąż przez czas swej długiej nieobecności. I za powrotem szczęśliwy był odnajdując ją równie stałą jak on. Szczerość jej wyznania, jej słabość nawet musiały się podobać panu Darcy, który nienawidził obłudy. Ale niedorzeczność tego rozumowania stanęła jej wnet jasno przed oczyma. Pociuszające myśli pierzchły zostawiając ją na pastwę wstydu i rozpacz.

Przez chwilę chciała wyrazić to, co czuje. Wyobrażała sobie, że świat ją odtrącił, rodzina opuściła. Po tak ciężkiej zniewadze wyrządzonej mężowi duma nie pozwalała jej już go oglądać. „Darcy kocha mnie – powiadała sobie – ja mogę kochać tylko jego. Bez niego nie mogę być szczęśliwa. – Z nim będę szczęśliwa wszędzie. Jedźmy razem w jakieś strony, gdzie nigdy nie ujrzę twarzy, która by mnie przyprawiła o rumieniec. Niech mnie weźmie z sobą do Konstantynopola...”

Darcy był o sto mil od domyślania się tego, co się dzieje w sercu Julii. Zauważył, że wjeżdżają w ulicę, przy której mieszka pani de Chaverny, i wkładał glansowane rękawiczki z wielkim spokojem.

– Ale, ale – rzekł – trzeba mi się oficjalnie przedstawić panu de Chaverny... Sądzę, że niebawem będziemy dobrymi przyjaciółmi. Wprowadzony przez panią Lambert, znajdę się od

razu w pani domu na stopie zażyłości. Nim to nastąpi, wobec tego, że mąż jest na wsi, czy wolno mi panią odwiedzić?

Słowa zamarły na ustach Julii. Każde słowo pana Darcy było pchnięciem sztyletu. Jak mówić o ucieczce, o wykradzeniu temu spokojnemu, zimnemu człowiekowi, który myśli jedynie o tym, aby sobie najwygodniej urządzić romansik na lato? Zerwała z wściekłością złoty łańcuszek, który nosiła na szyi, i miażdżyła ogniwa w palcach. Powóz zatrzymał się przed bramą. Darcy skwapliwie narzucił jej szal, poprawił jej kapelusz. Kiedy otworzono drzwiczki, podał jej rękę z wyrazem najgłębszego szacunku, ale Julia wyskoczyła nie przyjmując jego pomocy.

– Raczy pani pozwolić – rzekł skłaniając się głęboko – abym przyszedł dowiedzieć się o jej zdrowie.

– Zegnam pana! – rzekła Julia zdławionym głosem.

Darcy wsiadł do powozu i kazał się odwieźć do domu pogwizdując z miną człowieka bardzo zadowolonego ze swego dnia.

### XIII

Skoro Darcy znalazł się w swoim kawalerskim mieszkaniu, włożył turecki szlafrok, wzuł pantofle i nabiwszy latakią długą fajkę, której cybuch był z wiśni bośniackiej, a munsztuk z białego bursztynu, zaczął z niej pykać rozparłszy się w obszernej i dobrze wysłanej safianowej berzerce. Osobom, które dziwiłyby się widząc go przy tym pospolitym zajęciu w chwili, gdy może powinien najpożyteczniej marzyć, odpowiem, że dobra fajka jest pożyteczna, o ile niekonieczna, do marzeń i że prawdziwy sposób napawania się szczęściem to skojarzyć je z drugim szczęściem. Jeden z moich przyjaciół, człowiek bardzo zmysłowy, nie otworzył nigdy listu od kochanki, nie zdjąwszy wprzód krawata, nie poprawiwszy ognia, jeżeli to było w zimie, i nie rozciągnąwszy się na wygodnej kanapie.

– W istocie – powiadał sobie Darcy – byłbym głupcem, gdybym był poszedł za radą Tyrrela i kupił niewolnicę grecką, aby ją przywieźć do Paryża. Dalibóg! To by znaczyło, jak miał mój przyjaciel Haleb – Effendi, nosić figi do Damaszku. Bogu dzięki, cywilizacja postąpiła znacznie w czasie mojej nieobecności i nie wydaje się, aby surowość obyczajów posuwało tu zbyt daleko... Biedny ten Chaverny!... A, ba! Gdybym był dość bogaty przed kilku laty, byłbym się ożenił z Julią i to może Chaverny odwiózłby ją dziś wieczór. Jeżeli się kiedy ożenię, każę często opatrywać powóz mojej żony, aby nie potrzebowała błędnych rycerzy, którzy by ją wyciągali z rowu... No, zreferujemy tę sprawę. Razem wzięwszy to kobieta ładna, inteligentna i gdybym nie był tak stary, jak jestem, ode mnie by jedynie zależało uwierzyć, że to jest owoc moich nadzwyczajnych zalet!... Ba! Moje zalety!... Ach, ach! Za miesiąc może wartość moja znajdzie się na poziomie tego pana z wąsikami... Do kroćset! Gdybyż ta biedna Nastasia, którą tak kochałem, umiała czytać i pisać i znaleźć się z ludźmi! Zdaje mi się, że to była jedyna kobieta, która mnie kochała... Biedne dziecko... Fajka zgasła, Darcy usnął niebawem.

## XIV

Wchodząc pani de Chaverny zebrała wszystkie siły, aby powiedzieć najnaturalniejszym tonem pokojówce, że jej nie potrzebuje i że chce zostać sama. Skoro tylko dziewczyna wyszła, Julia rzuciła się na łóżko i zaczęła płakać bardziej gorzko obecnie, kiedy była sama, niż kiedy obecność Darcy'ego kazała się jej powściągać.

Noc posiada niewątpliwie wielki wpływ na cierpienia moralne, jak i na ból fizyczny. Daje wszystkiemu odcień posępny; obrazy, które w dzień byłyby obojętne lub nawet wesołe, niepokoją nas i dręczą w nocy niby upiory, które mają moc jedynie w ciemnościach. Zdaje się, że w nocy myśl staje się bardziej czynna, rozum zaś traci swoją władzę. Jakaś halucynacja mąci nas i przeraża, nie zostawiając nam siły na usunięcie przyczyny lęków lub na chłodne zbadanie ich rzeczywistości.

Wyobraźmy sobie biedną Julię na łóżku, wpółubraną, miotającą się bez wytchnienia, to trawioną palącym żarem, to mrożoną przejmującym dreszczem, drżącą za najmniejszym trząskiem drzewa, słyszącą wyraźnie bicie swego serca. W świadomości jej pozostał jedynie nieokreślony lęk, którego powodu na próżno szukała. Potem, nagle, wspomnienie tego nieszczęsnego wieczoru przebiegło jej mózg jak błyskawica, a z nim budził się ostry ból podobny temu, który sprawiłoby rozpalone żelazo w zabliźnionej ranie. To znów patrzyła na lampę, śledząc bezmyślnie migotanie płomienia, aż łzy, które bezwiednie gromadziły się w jej oczach, przesłoniły światło.

– Czemu te łzy? – powiadała sobie. – Ach, jestem zhańbiona.

To liczyła frędzle przy kotarach, ale nie mogła nigdy zapamiętać liczby.

– Co to za szaleństwo? – myślała. – Szaleństwo? Tak, gdyż przed godziną oddałam się jak ladacznica mężczyźnie, którego nie znam.

To znów śledziła oglupiałym wzrokiem wskazówkę zegara, z drżeniem skazańca, który widzi zbliżającą się godzinę kaźni. Naraz zegar zaczął bić.

– Jest trzecia – powiedziała sobie wstrząsnąwszy się nagle – Byłam z nim i jestem zhańbiona!

Spędziła całą noc w tym podnieceniu. Kiedy zrobił się dzień, otwarła okno. Świeże i ożywcze powietrze przyniosło jej nieco ulgi. Pochylona nad balustradą okna wdychała z rozkoszą zimne powietrze. Bezład jej myśli rozproszył się pomału. Po tym zamęcie, po gorączce, jaka nią miotana, nastąpiła skupiona rozpacz, która była niemal odpoczynkiem.

Trzeba było coś postanowić. Zaczęła się namyślać, co uczynić. Nie powstało jej w głowie, aby mogła widzieć jeszcze pana Darcy. To wydawało jej się niemożliwe, na jego widok umarłaby ze wstydu. Musi opuścić Paryż, gdzie za dwa dni wszyscy pokazywaliby ją palcami. Matka jest w Nicei; pojedzie do niej, wyzna wszystko; potem, wyplakawszy się na jej łonie, ma tylko jedno przed sobą: poszukać jakiejś pustyni we Włoszech, nie znanej podróżnym, gdzie by mogła żyć sama i umrzeć niebawem.

Raz powziąwszy to postanowienie uspokoiła się nieco. Usiadła przy stoliku na wprost okna i z głową w dłoniach płakała, ale już bez goryczy. Zmęczenie i przygnębienie zwyciężyły wreszcie; zasnęła lub raczej przestała myśleć blisko przez godzinę.

Obudziła się z dreszczem i uczuciem gorączki. Czas zmienił się, niebo było szare, drobny i lodowaty deszcz zwiastował chłód i wilgoć na resztę dnia. Julia zadzwoniła na pokojówkę.

– Matka moja jest chora – rzekła – muszę jechać natychmiast do Nicei. Spakuj walizę, chcę jechać za godzinę.

– Ależ pani, co pani jest? Czy pani nie chora?... Pani się nie kładła! – wykrzyknęła pokojówka zdziwiona i zaniepokojona zmianą, jaką zauważyła w rysach swej pani.

– Chcę jechać – rzekła Julia niecierpliwie – muszę jechać. Przygotuj walizę.



W naszej nowoczesnej cywilizacji nie wystarcza prosty akt woli, aby się przenieść z jednego miejsca na drugie. Trzeba spakować rzeczy, brać z sobą pudła, zajmować się setką nudnych przygotowań, które wystarczą, aby odjąć ochotę do podróży. Ale niecierpliwość Julii znacznie skróciła tę konieczną zwłokę. Chodziła, biegała z pokoju do pokoju, pomagała pakować, gromadząc bez ładu czapeczki i suknie przyzwyczajone do większych względów. Mimo to energia jej raczej przyczyniała się do opóźnienia pracy niż do jej przyspieszenia.

– Jaśnie pani zapewne uprzedziła jaśnie pana? – spytała nieśmiało pokojówka.

Bez odpowiedzi Julia wzięła papier i napisała: „Matka zachorowała w Nicei. Jadę do niej”. Złożyła papier we czworo, ale nie mogła się zdobyć na skreślenie adresu.

Wśród tych przygotowań wszedł służący:

– Pan de Châteaufort – rzekł – pyta, czy pani zechce go przyjąć; jest też drugi pan, który przyszedł równocześnie, nieznajomy: oto jego bilet.

Przeczytała: „E. Darcy, sekretarz ambasady”. Ledwie mogła powstrzymać krzyk.

– Nie ma mnie dla nikogo! – rzekła. – Powiedz, że jestem chora. Nie mów, że wyjeżdżam.

Nie mogła sobie wytłumaczyć, w jaki sposób Châteaufort i Darcy przychodzą równocześnie; oszalała jej myśl wyroiła, że Darcy już obrał sobie Châteauforta za powiernika. Nic prostszego wszelako niż ich równoczesna obecność. Sprowadzeni tą samą pobudką, spotkali się u drzwi i wymieniwszy zimny ukłon ślali się wzajem najserdeczniej do diabła.

Usłyszawszy odpowiedź służącego zeszli razem, skłonili się sobie jeszcze zimniej i oddalili się każdy w przeciwnym kierunku.

Châteaufort zauważył szczególne względy, jakie pani de Chaverny okazywała panu Darcy, i od tej chwili zapłonął doń nienawiścią. Ze swej strony Darcy, który się uważał za fizjonomistę, z nerwowości i wyraźnego niezadowolenia Châteauforta wyciągnął wniosek, że on kocha Julię, że zaś, w charakterze dyplomaty, skłonny był do przypuszczania złego *a priori*, wynioskował bardzo lekko, że Julia nie była okrutna dla pana Châteauforta.

– Szczwana kobietka! – powiedział sobie wychodząc – nie chciała nas przyjąć razem z obawy wyjaśnień w stylu *Mizantropa*... Ale głupi byłem, że nie znalazł jakiegoś pozoru, aby zostać i pozwolić odejść temu lalusiowi. Oczywiście, gdybym zaczekał, aż on odejdzie, byłaby mnie przyjęła, mam nad nim niezaprzeczoną przewagę nowości.

Tak dumając zatrzymał się, potem wrócił, potem wszedł do pałacu pani de Chaverny. Châteaufort, który również odwrócił się kilka razy, aby go śledzić, pospieszył za nim i krążył w pewnym oddaleniu.

Darcy oświadczył służącemu, zdziwionemu jego powrotem, że zapomniał napisać paru słów do pani: chodzi o pilną sprawę, o zlecenie, jakie pewna dama dała mu do pani de Chaverny. Przypominając sobie, że Julia rozumie po angielsku, napisał ołówkiem na bilecie: Begs leave to ask when he can show to madame de Chaverny his turkish Album. Oddał bilet służącemu mówiąc, że zaczeka na odpowiedź.

Czekał długo. Wreszcie służący wrócił bardzo zmieszany.

– Jaśnie pani – rzekł – zasłała przed chwilą i jest w tej chwili zbyt cierpiąca, aby móc odpowiedzieć.

Wszystko to trwało z kwadrans. Darcy nie wierzył w omdlenie, ale jasne było, że pani de Chaverny nie chce go przyjąć. Przyjął rzecz filozoficznie i przypominając sobie, że ma parę wizyt w tej okolicy, wyszedł nie kłopotąc się zbytnio o to niepowodzenie.

Châteaufort czekał nań niespokojny i wściekły. Widząc go z powrotem, nie wątpił, że Darcy jest jego szczęśliwym rywalem i przyrzekł sobie zemścić się na niewiernej i na jej wspólniku. Major Perrin, którego spotkał w samą porę, wysłuchał jego żalów i pocieszył go, jak umiał, wykazując mu zarazem całą wiotkość tych podejrzeń.

## XV

Julia zupełnie naprawdę zemdląca otrzymując drugi bilet pana Darcy'ego. Zemdleniu jej towarzyszyło plucie krwią, które ją bardzo osłabiło. Pokojówka posłała po lekarza, ale Julia bezwarunkowo odmówiła jego przyjęcia. Około czwartej przyszły konie pocztowe, przytroczono walizy: wszystko było gotowe. Julia wsiadła do karety, kaszłąc straszliwie, w stanie godnym litości. Przez cały wieczór i całą noc przemówiła jedynie do lokaja siedzącego na koźle i jedynie po to, aby kazać pocztylionom pospieszyć. Kaszłała ciągle i widocznie czuła ból w piersiach; była tak osłabiona, że zemdląca, kiedy otworzono drzwiczki. Przeniesiono ją do lichej gospody i ułożono w łóżku. Zawołano miejscowego lekarza: stwierdził silną gorączkę i zabronił dalszej podróży. Mimo to wciąż upierała się jechać. Wieczorem przyszła maligna, objawy stały się groźniejsze. Wciąż mówiła, i to tak szybko, że trudno było ją zrozumieć. W jej bezładnych zdaniach nazwiska Darcy'ego, Châteauforta, pani Lambert powtarzały się często. Pokojówka napisała do pana Chaverny, aby mu oznajmić o chorobie żony; ale chora znajdowała się o trzydzieści mil od Paryża, Chaverny polował u księcia de H..., a choroba czyniła takie postępy, że mała była nadzieja, aby mógł zdążyć na czas.

Tymczasem lokaj puścił się konno do sąsiedniego miasta i sprowadził lekarza. Ten zganiał zarządzenia kolegi, oświadczył, że go wezwano za późno i że choroba jest poważna.

Majaczenie ustało o brzasku i Julia zasnęła głęboko. Kiedy się obudziła, w dwa lub trzy dni później, z trudnością zdołała sobie przypomnieć, wskutek jakiego ciągu wypadków znajduje się w łóżku w brudnej izbie gospody. Ale pamięć wróciła jej niebawem. Rzekła, że czuje się lepiej, planowała nawet wyjazd na dzień następny. Potem podumawszy długo, z ręką na czole, poprosiła o atrament i papier i chciała pisać. Pokojówka widziała, że zaczyna jeden list po drugim i drze je zaledwie napisawszy pierwsze słowa. Równocześnie nakazywała, aby spalono strzępy papieru. Pokojówka zauważyła na kilku kawałkach słowo: „Panie”, co jej się wydało osobliwe (mówiła), bo sądziła, że pani pisze do matki lub do męża. Na innym kawałku wyczytała: „Musi pan mną bardzo pogardzać”...

Przez pół godziny chora siliła się bezskutecznie napisać ten list, który wyraźnie zaprzętał wszystkie jej myśli. Wreszcie wyczerpanie nie pozwoliło jej pisać dalej: odepchnęła pulpit, który umieszczono na łóżku, i rzekła pół przytomnie do pokojówki:

- Napisz ty sama do pana Darcy'ego.
- Co mam pisać, proszę pani? – spytała pokojówka przekonana, że wraca maligna.
- Napisz, że mnie nie zna... że ja go nie znam...

I padła wyczerpana na poduszki.

To były ostatnie zrozumiałe słowa, które wymówiła. Chwyciła ją maligna i już nie opuściła jej. Umarła nazajutrz, jak się zdawało bez wielkich cierpień.

## XVI

Chaverny przybył w trzy dni po pogrzebie. Ból jego zdawał się szczery, mieszkańcy wioski płakali widząc go na cmentarzu, jak stał i patrzył na świeżo skopaną ziemię pokrywającą trumnę żony. Chciał ją kazać wyjąć z grobu i przenieść do Paryża; gdy jednak mer sprzeciwił się temu, rejent zaś napomknął o niezliczonych formalnościach, poprzestał na zamówieniu kamienia i wydaniu rozkazów celem wzniesienia prostego, ale przyzwoitego grobowca.

Châteaufort bardzo odczuł tę niespodzianą śmierć. Odrzucił kilka zaproszeń i przez jakiś czas pokazywał się ubrany na czarno.

## XVII

W świecie opowiadano na kilka sposobów śmierć pani de Chaverny. Wedle jednych miała sen lub, jeśli kto woli, przeczucie zwiastujące jej, że matka jest chora. Uderzyło ją ono tak, że puściła się natychmiast do Nicei mimo silnego przeziębienia, jakiego nabawiła się wracając od pani Lambert; przeziębienie to rozwinęło się w zapalenie płuc.

Inni, świadomsii, upewniali z tajemniczymi minami, że pani Chaverny, nie mogąc przed sobą ukryć swej miłości do pana de Châteaufort, chciała szukać u matki siły do obrony. Przeziębienie i zapalenie płuc były następstwem tego spieszego wyjazdu. Na tym punkcie godzili się wszyscy.

Darcy nie mówił o Julii nigdy. W kilka miesięcy po jej śmierci ożenił się bardzo świetnie. Kiedy oznajmił swoje małżeństwo pani Lambert, ta rzekła winszując mu:

– W istocie, narzeczona pańska jest urocza i jedynie moja biedna Julcia mogłaby się panu równie nadawać. Co za szkoda, że pan był za biedny dla niej wówczas, gdy była na wydaniu.

Darcy uśmiechnął się ironicznie, ale nie rzekł nic.

Te dwa serca, które się minęły, były może stworzone dla siebie.